

W piśmie towarzyszącym jest  
i Niejakiej wypałycałi księgi  
dla dorosłych  
9-10 1949

# KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron

Warszawa, 9 października 1949 r.

Nr 40 (212) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

W numerze m. in.:

NOWE PRZEKŁADY z radzieckiej poezji i dramatu (E. Bagricki, A. Blok, M. Bułhakow, A. Niedogonow, K. Paustowski, S. Szczipaczow, A. Twardowski.)

...Poetów serca wciąż na straży,  
W ich niepokoju — moc się  
[wazy];  
Podobnie czarne śpią brylanty  
Smem niepojętym i nieznanym.  
W bezruchu śpią zaczarowa-  
[nym]  
Do dnia, aż w tonie gór [głębokiem]  
Kilof zadzwoni o opokę.

ALEKSANDER BŁOK

SEWERYN POLLAK

## O CZUJNOŚCI POETÓW

I  
WIELCY poeci mają to do siebie, że najtrudniejsze sprawy, najbardziej żywotne zagadnienia swojej epoki potrafią ująć czasami w jednym ostrym skrócie myślowym, który pozostaje w naszej pamięci jak światło nocnej błyskawicy w oku. Gdyby zadano mi pytanie, jakim zdaniem określiłbym współczesną literaturę radziecką, bez wahania przytoczyłbym powiedzenie pierwszego poety rewolucji, Aleksandra Błoka: „poetów serca wciąż na straży”.  
To zdanie warto pamiętać. Starczy ono za całą rozprawę, zastąpić może długie wywody i argumenty, a w roku bieżącym, w którym dziwnym zbiegiem okoliczności skojarzyły się daty jubileuszowe takich poetów, jak Mickiewicz, Puszkina, Słowacki, nabiera ono wyjątkowej wyrazistości. Bo też właśnie ci trzej poeci, a zwłaszcza Mickiewicz i Puszkina, byli wyraziście myślicielami i uczącymi swego pokolenia, swego narodu. Do nich przede wszystkim odnosi się to zdanie Błoka i dlatego dziś, w naszej trudnej epoce, gdy przebudowujemy nasze myśli i uczucia, gdy wysiłkiem woli twórczej musimy sprostać wymogom, jakie stawia przed nami nasz czas, okres tworzenia socjalizmu — przykład tych, którzy nie lekali się trudności swego czasu, którzy wychodzili im naprzeciw, jest dla nas szczególnie pouczający.

Legenda o „wspólnym płaszczu”, którym pod pomnikiem Piotra I-go stali okryci dwaj poeci, Mickiewicz i Puszkina, jest być może tylko legendą. Bardzo być może, że interlokutorem Mickiewicza pod „lejącą z granitów kaskadą” był inny poeta wolności, poeta-obywatel — Rylejew, który pisał:

Niechaj młodzieńcze, los mijając swó,  
Przeznaczeń wieku nie zna ni docieka  
I nie gotuje się na przyszły bój  
Za uciśnioną wolność, za cziwoieka.  
Niech obojętni zimną zachowają krew,  
Kiedy wśród kłosek ojeższona ciępi,  
Nie widzą, że z nich rosnie słuszny  
[gniew]

I potężności wyrzut ciępi.

Dla nas dziś ważne jest, że legenda ta, w której złączone zostały nazwiska młodych wolności poetów, przez sto przeszło lat trwała w świadomości obu narodów i dotrwała do czasów, gdy „słońce swobody zabłysło” i w obu krajach zginęła „kaskada tyranstwa”.

Alle poeci powinni zawsze być czujni. Czujność poetów jest termometrem czujności społeczeństwa. Okres, w jakim żyjemy, wymaga wzmożonej uwagi. Pisarze prawdziwi, ci co rozumieją odpowiedzialność za swoje słowa wobec własnego pokolenia i wobec pokoleń przyszłych, — czy to w pozornej ciszy gabinetów pracy, pełnych odgłosów gromów historycznych, czy na placu gwary, czy w ogniu walki, tak jak Mickiewicz i Słowacki, jak Puszkina i Rylejew, — chwytając jak najczulsze odbiorniki odgłosy swojej współczesności, reagując na nie z wiernością igły magnetycznej, walcząc czynnie o prawo i sprawiedliwość, walcząc swoją bronią — słowem, właśnie przez to, właśnie dlatego żywi są dla pokoleń następnych. Czujność ich, miara związania z epoką, miara postępowości — była miarą wielkości twórczej.

My, którzy żyjemy w okresie, gdy ruchy społeczne przekroczyły granice kontynentów, naszą odpowiedzialność pisarską wobec walczących mas ludowych musimy siłą rzeczy mierzyć ogromem tej walki. Epoka nasza, epoka budowania socjalizmu nakłada na pisarzy większe obowiązki, stawia wobec trudniejszych dylematów, zmusza do pokonania większych trudności niż poprzednie okresy historyczne.

Pisarze Związku Radzieckiego to proste prawdy, które wydają się truizmami, a tak trudne są do realizowania, znają i realizują oddawna. Rozumieją oni doskonale, że pisarz spełnić może swą rolę społeczną jedynie biorąc czynny udział w walce klasowej w ścisłym zespoleniu z klasą robotniczą. Rozumieją, że walka klasowa, walka o socjalizm jest w istocie swym pojęciem jednoznaczny z celem każdego prawdziwego pisarstwa — z humanizmem.

Ten cel jednocy wszystkich postępowych pisarzy świata. Jest on pomostem, na którym spotykają się przede wszystkim pisarze Związku Radzieckiego z pisarzami demokracji ludowych.

W obecnej chwili każde inne traktowanie literatury jest ucieczką od odpowiedzialności.

...kto w słowa plękanie  
Zatracał się jak w niewidzianej twarzy,  
Tęgo dźwięk czysty, zbyt czysty,  
[drzeważy]

Zmieszana z ziemią krew —  
powiada Mieczysław Jastrun w wierszu „Wspomnienie”. Mówimy różnymi głosami, mówimy w różnych językach, ale istotna treść naszych słów jest zawsze jednaka. W walce o sprawiedliwy porządek świata, o pokój, bez którego nie do pomyślenia jest tworzenie nowej, lepszej kultury, która musi stać się wspólnym dobrem wszystkich, pisarze radzieccy dają przykład najwyższego hartu ducha, najlepszego rozumienia odpowiedzialności swych zadań.

Czystość tonu poezji — to wielkość celów, jakie sobie wytknęli. Poeci naszej doby, jeżeli chcą naprawdę sprostać swemu zadaniu, muszą zdobyć się na ten wysiłek

artystyczny, tę czystość ideowego tonu twórczości, jakiego przykład dali nam tacy pisarze radzieccy, jak Gorki, Majakowski, Szolochow, Erenburg.

Tak jak w oparciu o Związek Radziecki demokracje ludowe i proletariatu całego świata w pełnej jedności celów i metod walki czynnie odparują wszelkie zakusy imperializmu, tak samo pisarze, ideowi organizatorzy kultury mas ludowych, bionie muszą pokoju, walcząc z masą o kulturę, o przyszłość i godność ludzkości. Wojna następna — to upadek kultury, to groźba barbarzyństwa. W obronie najwyższych wartości ludzkich, w obronie humanizmu i socjalizmu słowa pisarza powinny być broń, gdzie wedle słów Majakowskiego

Wiersze tu stoją  
ciężko jak z ołowiu,  
gotowe brnąć i śmierać  
i nieśmiertelną sławę.

Każdy z nas w tym decydującym starciu powinien tak wystrzyżać swoje słowa, aby miał moralne prawo powtórzyć za Majakowskim:

...wszystką  
siłę zbrojnego żołnierza,  
co lata zwycięstw przebiegł  
do dwudziestej mety,  
aż do ostatniej kartki powierzam  
tobie,  
proletariuszu tej planety...

...Niech jako wspólny pomnik nasz stół  
wzniesiony  
w bojach socjalizm.

II

W tych warunkach wymiana dóbr kulturalnych pomiędzy Związkiem Radzieckim a sprzymierzonymi z nim w walce o socjalizm krajami demokracji ludowych staje się wspólnym przedmiotem broni ideologicznej, więcej, bo jej wzajemnym uzupełnianiem. Każdy wiersz Majakowskiego przetłumaczony na język polski uzupełnia nasz arsenał środków oddziaływania ideologicznego. Każdy wiersz Broniewskiego, Jastruna, Ważyka, przetłumaczony na język jednego z narodów Związku Radzieckiego, rozszerza granice socjalistycznego zbractwa. Wzajemne poznanie naszych literatur jest środkiem do poszerzenia stanu posiadania kulturalnego narodu, dokumentem właściwie pojętego proletariackiego internacjonalizmu.

Na tym tle rozpatrywać pokrótce, jak przedstawiały się i przedstawiają się obecnie kontakty twórcze w dziedzinie poezji pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim. Mało jest chyba krajów, gdzie jak w Polsce przedwojennej rozpowszechnienie i wpływ poezji radzieckiej byłyby dokładnym wizerunkiem stosunku społeczeństwa do Związku Radzieckiego, termometrem wskazującym nasilenie nastrojów rewolucyjnych. Wynikało to z tej prostej przyczyny, że ogromna większość pisarzy polskich w czasach największego ucisku reakcji nastawiona była opozycyjnie do rządów sanacyjnych, że — znów parafrazując słowa Aleksandra Błoka — „poetów serca wciąż były na straży”. I dlatego też podczas gdy artykuł polityczny czekała niechętna konfiskata, słowo poetyckie spełniało rolę propagandową, dlatego wiersz poety radzieckiego, przetłumaczony na język polski, mówił o Związku Radzieckim prawdę ukrywana przez oficjalną prasę, przeczył kłamstwom tej prasy, szerzył ideę rewolucji społecznej.

Nawet poeci — tłumacze o niedość skrytykalizowanych poglądach politycznych dawali się porwać urokowi i dynamice nowej poezji rosyjskiej i poprzez swoje tłumaczenia oddawali mimowolną usługę sprawie popularyzacji Związku Radzieckiego.

Do najważniejszych pozycji tłumaczeniowych w przedwojennej Polsce należy zaliczyć antologię przekładów z dwudziestu dwóch poetów rosyjskich p.t. „Nowa poezja rosyjska”, wydana w 1923 roku, gdzie między innymi tłumaczone były utwory takich poetów, jak Blok, Jesienin, Majakowski, Erenburg. Na czoło tłumaczy wybija się wówczas już Julian Tuwim, Leonard Podhorski-Okolowy, Antoni Słonimski, Jarosław Iwaszkiewicz. W tym samym roku Julian Tuwim wydaje przekład „Obłoku w spodniach” Majakowskiego, a w cztery lata później pod redakcją Anatola Sterna ukazuje się obszerny wybór poezji Majakowskiego w tłumaczeniach Tuwima, Słobodnika, Słonimskiego, Sterna. W 1926 roku Władysław Broniewski wydaje swój przekład „Fugaczowa” Jesienina. Niezłomnym popularyzatorem poezji radzieckiej jest Kazimierz Andrzej Jaworski, który zarówno przed wojną jak i obecnie nie ustaje w tłumaczeniu poetów sowieckich. W 1936 roku ukazał się zbiór przekładów Seweryna Pollaka p.t. „Z nowej liryki rosyjskiej”.

Wydania książkowe, z których najważniejsze zostały tu wymienione, nie były jednak dokładnym odzwierciedleniem zainteresowań poezją radziecką w Polsce przedwojennej. Warunki wydawnicze i cenzuralne nie sprzyjały wydawnictwu utworów tego rodzaju, to też większość przekładów poezji radzieckiej drukowana była w prasie lub też krążyła — zwłaszcza wśród lewicowej młodzieży — w odpisach.

Powyżej naszkicowana sytuacja kardynalnie zmieniła się po wojnie. W Polsce ludowej wraz z ogromnym rozszerzeniem kręgu czytelniczego, wraz z ogólnym zainteresowaniem sprawami Związku Radzieckiego rodzi się coraz mocniejsze za-

interesowanie i zapotrzebowanie na przekłady poezji radzieckiej. Nie ma świetlicy robotniczej, nie ma bodaj zebrania młodzieżowego, gdzie nie byłoby recytowane utwory poetów radzieckich. Majakowski jest znany i lubiany w Polsce — można powiedzieć bez przesady — w niemiejszym stopniu niż poeci polscy. Cała prasa polska z pismami literackimi na czele przyczynia się do rozpowszechniania nowej poezji sowieckiej drukując liczne tłumaczenia.

Dotychczasowa ekipa tłumaczy polskich wzbogaciła się nowymi, często znakomitymi w naszej poezji nazwiskami. Do dawnych świetnych tłumaczy, jak Broniewski, Tuwim, Okolowy-Podhorski, przybyli nowi, którzy do tej pory sprawiali przekład poetycki zajmowali się jedynie na marginesie twórczości oryginalnej. Przede wszystkim wymienić tu należy Mieczysława Jastruna, Adama Ważyka, Leona Pasternaka. W 1945 roku Artur Sandauer wydał przekład poematu Majakowskiego p.t. „Dobrze”. Utwór ten zapoczątkował powojenne wydania książkowe przekładów poezji radzieckiej.

Książka, która zsumowała wysiłki poetów polskich w dziedzinie tłumaczeń z poezji rosyjskiej, i gdzie wiele miejsca poświęcono poezji radzieckiej, jest wydana w 1947 roku antologia p.t. „Dwa wieki poezji rosyjskiej” w układzie i opracowaniu Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka.

Antologia ta, zawierająca wybór najlepszych tłumaczeń polskich uwzględnia dwudziestu siedmiu poetów radzieckich. W przygotowywanym obecnie drugim jej wydaniu udział poezji radzieckiej wzbogaci się o przekłady nowe.

Wspomniałem tu o oddziaływaniu poezji Majakowskiego. Oddziaływanie to datuje się od dawna. Po tomie Sterna w 1940 roku ukazał się we Lwowie będący obecnie rzadkością bibliograficzna obszerna wierszy Majakowskiego pod redakcją Jerzego Borejszy, a obecnie, w roku bieżącym wyszedł nakładem „Książki i Wiedzy” nowy wybór w opracowaniu Adama Ważyka.

Ten dość oschły katalog wydawnictw poświęconych poezji radzieckiej ma swoją wymowę. Mówi on o zainteresowaniu tą poezją wśród mas ludowych w Polsce, wskazuje na wpływ wychowawczy, jaki ona niewątpliwie wywiera.

Celowo wyodrębniłem tu najpierw pozycje dotyczące poezji radzieckiej, nie wspominając o tłumaczeniach klasyków, choć świadczą one w równym stopniu o żywości kontaktów twórczych pomiędzy narodami polskim a radzieckim — gdyż chodziło mi o podkreślenie zainteresowania naszych żywych, aktualną twórczością radziecką. A przecież w tej dziedzinie, jak wiadomo, możemy się pochwalić mieladą jakimi osiągnięciami. Dość wspomnieć znakomitą twimowską „Lutnię Puszkina”, której trzecie, znacznie poszerzone wydanie, jak chodzą słuchy, ma się wkrótce ukazać. Dość wspomnieć tomik przekładów Tadeusza Stępniewskiego z Puszkina i Tiutczewa i bardzo obszerny wybór poezji Tiutczewa w tłumaczeniu Stępniewskiego i Jaworskiego.

Dla wierności obrazu nie mogę pominać tomu „Dramatów” Puszkina w moim przekładzie. Wszystkie te pozycje omawiane były w prasie i dlatego ograniczam się tu jedynie do krótkich wzmianek. Muszę jednak zwrócić szczególną uwagę na przygotowywaną obecnie pod redakcją Ważyka jedynotomowy wybór utworów Puszkina, a także na zbiorowe sześciotomowe wydanie dzieł Puszkina, którego pierwsze tomy ukazały się już w roku bieżącym. Wydanie to, które w pełni uprzyjemni nam Puszkina, spełni marzenia poety i w Polsce ludowej na równi z republikami Związku Radzieckiego „dumny Słowian wnuk” pozna wielką twórczość najznakomitszego poety Rosji.

Alle obraz kontaktów twórczych pomiędzy Polską ludową a Związkiem Radzieckim byłby jednostronny, gdyby pominał osiągnięcia radzieckie w przyswajaniu naszej twórczości poetyckiej. Osiągnięcia te omawiałem już nieraz w „Kuźnicy”, znów więc ograniczę się do wymienienia tytułów. Polityka wydawnicza w Związku Radzieckim w zakresie tłumaczeń z poezji polskiej, jak sądzić można z dotychczasowej produkcji, nastawiona jest przede wszystkim na przekłady naszych klasyków. A więc w ostatnich latach — że nie będę cofał się zbyt daleko w przeszłość — ukazał się duży zbiorowy tom Mickiewicza, w poprzednich latach ukazały się mniejsze wybory poezji Mickiewicza, kilkakrotnie tłumaczone „Grażynę” w oddzielnych wydaniach. Wyszły wybór poezji Słowackiego, Konopnickiej. Odpowiednikiem polskiego zbiorowego wydania Puszkina jest od dawna zapowiadana edycja dzieł Mickiewicza w pięciu tomach, z których na pewno najbliższe ukazały się już w bieżącym roku jubileuszowym.

Jeśli chodzi o nową poezję polską, to jedyną w latach powojennych pozycją jest wybór poezji Juliana Tuwima. Ale od dawna już przygotowana jest w Związku Radzieckim antologia współczesnej poezji polskiej i miejmy nadzieję, że wkrótce i nasze słowa, słowa naszych poetów zabrzmią w języku rosyjskim i staną się dostępne dla wielu milionów radzieckich czytelników, ażeby mogli oni w ten jeszcze sposób poznać naród, który wraz z nimi walczy o socjalizm, sprawiedliwość, o wspólny cel socjalizmu i poetów — o godność ludzką, humanizm.

Seweryn Pollak

## LOUIS ARAGON W POLSCE



LOUIS ARAGON

### PIOSENKA JANA Z CHAUNY

Na obraz ludzi życie uczyniono  
I jemu także bywa sen więzieniem  
I jemu także mijają jesienie  
I jemu także marzy się i ono  
Na widnokręgu ściga swoje cienie  
By widzieć lepiej puszcza dom z płomieniem  
I jak rum w szklance który podpalamo  
Pałac się daje rym i objaśnienie

Słomianych ludzi świeże trawy trwożą  
Z popiołu ludzi ogień nie wyzwala  
Wielkie nieszczęście romanse oddala  
Gdy swoje gniewy w snopach już ułożą  
Gdy serc szalibierczych przechylili się szala  
Co bliż z nędzy pieniądź dla szakala  
Gdy się w przysłowia szaleństwa namnożą  
Szalone ludy rozważa ocala

Mieć władzę słowa które dobrze zna się  
Jak niekarana zbrodnia się powtarza  
Mieć władzę słowa które raz się starza  
Które firanką na oknie ci zda się  
Wieczór i rano z tym samym browiarzem  
Jan Jakich Wielu jest z Chauny skotartem  
Nad jego grobem była nikt nie pasie  
Łąka gdy żółknie to kwiaty obnaża

Kto umie kochać i zdania zdawkowe  
Jak bukiet kwiatów które kupił w ścisku  
Świeży go zapach oszołomi z bliska  
W dziennik w Paryżu gdy zanurzy głowę  
Słowa wytarte są jak chodnik śliski  
Słowa wytarte ranią swym polyskiem  
Słowa wytarte to rymy nie nowe  
Na słów tych bruku widzę jak krew tryska

Nam z piosenkami w naszych plaż kolorze  
Ze zgiełkiem wiewów spadających przecie  
Podnieść to słońce które już czujeć  
Od nas zależeć to jedynie może  
Czy w dobro zło się złoto zmieni śmiecie  
Gwiazd starożytnych ręką dosięgnięcie  
Daleko szukasz nieba o nieboże  
Niebo jest tutaj choć o tym nie wiecie

Niebo w marzenia wasze się przystroi  
Niebo jest tutaj w kolorze twych kroków  
W kolorze pracy walki nie obłoków  
Niebo jest tutaj i na ziemi stoi  
Równie błękitne jak woda potoku  
W waszych ramionach jest i w waszym wzroku  
Pomagających sobie bracia moi  
Niebo „cudownie” wspomaga proroków

Piosenka ta jest dla Jana Każdego  
Piosenka ta bezdomnym dachy piętrzy  
Piosenka ta przychodzi gdy głód dręczy  
Piosenka ta tancownie w krag przebiega  
Ziszczą nam sny królewskie czoła wieńczy  
Piosenka ta jest nowych praw nam tęczy  
Tak dla Chauny jak i świata całego  
Piosenka ta dla was i dla mnie dźwięczy.

Przełożył Jerzy Zagórski

RYSZARD MATUSZEWSKI

# O pojmowaniu kultury klasycznej

**C**ZYM jest właściwie tzw. „kultura klasyczna”? Czy istotnie przeżywa jej zmierzch? Na sekcje filologii klasycznej zapisało się w tym roku na Uniwersytecie Warszawskim dwóch studentów. Łacina jako przedmiot obowiązkowy została w szkołach znacznie ograniczona. Nie przedstawia wartości praktycznej dla przyszłych pedagogów. Budzi niewiele większe zainteresowanie niż sanskryt, a mniejsze (sądząc po liczbach zapisów na studia) niż sino- i turkologia. Rozumiem, że nawet dla ludzi z mojego pokolenia, które już nie zetknęło się w szkole z greką, a połowę szkolnej łaciny zapomniało w rok po maturze — zjawiska te mogą wydawać się wręcz groźne. Jakże to? Wzrost zblizła się czas kiedy pieśń Horacego stała się dla nikogo niezrozumiałym szjefem? Więcej: kiedy niedostępna dla wykształconego Polaka stała się pokaźna ilość zabytków jego własnej rodzimnej literatury, trzecia część utworów Kochanowskiego, wszystkie dzieła Frycza-Modrzewskiego?

Myślę, że w obawach tego rodzaju wiele jest strusiego chowania głowy w piasek. Nauczanie łaciny w szkole w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu ułatwiło niewątpliwie do pewnego stopnia start filologom, przesada jednak byłoby twierdzenie, iż zblizła ogół do piękna klasycznej poezji, że stanowią racjonalnie klucz do jej poznania. Takich, co po ukończeniu szkoły średniej,



Plaskorzeźba ze świątyni Ateny

z własnej i nieprzymuszonej woli, nie zdopingowani rodzajem obranych studiów, brali się do lektury klasyków łacińskich czy greckich, „nie wiem, czy był jeden” na tysiąc. Nie ulega natomiast wątpliwości, że nauczanie łaciny i greki w wieku XIX i XX było jedną z najsilniej występujących oznak klasowego charakteru szkoły. Tak jak poprzednio było przywilejem stanowym szlachetczyzny.

Myślę dalej, że dla dobra właściwie pojętej kultury klasycznej nie należy żałować odpadnięcia od studiów filologicznych tych wszystkich kandydatów, których do rezygnacji z tych studiów skłoniła niepewność co do losów szkolnej łaciny i związanych z nią źródeł zarobkowania. Gwałtowny i niemal całkowity zanik zainteresowania gałęzią wiedzy, niedostarczająca szablonowych możliwości życiowych, jest charakterystyczny dla ogólnego kryzysu nauki burżuazyjnej. Tego samego typu, choć mniej może jaskrawy w swym obrazie cyfrowym, strach przed życiową nieprzystatnością studiów odwołał przed wojną wielu kandydatów od nauk humanistycznych w ogóle. Studenci z zamiłowaniami humanistycznymi kończyli inne, „praktyczniejsze” wydziały z zaskierowaniem przez środowisko obawy, że jako absolwenci humanistyki skazują się co najwyżej na nędzną weteranację. Typowość tego zjawiska wydaje się dość charakterystycznym symptomem pogardy, jaka w istocie żywi kapitalizm i burżuazja dla nauki i kultury.



Plaskorzeźba ze świątyni Zeusa: Atlas przynosi Heraklesowi jabłko z ogrodu Hesperyd

Dziś wielu ludzi, a wśród nich także duży odsetek młodzieży myśli jeszcze dawnymi kategoriami. Nie umie dojrzeć w państwie ludowym mecenasa nauki i kultury. Stroni od pewnego typu studiów w obawie przed ich niepraktycznością. Jest to niewątpliwie zjawisko przejściowe. Zapewne; przesada byłoby przewidywanie renesansu filologii klasycznej jako podstawy nauczania w dawnych, choćby dwuletniastowiecznych rozmiarach. Celowo pomyślany zakres studiów badawczych w tej, tak ściśle z dziejami naszej kultury związanej dziedzinie, powinien — wydaje mi się — współgrać z planową pracą na innych sekcjach humanistyki. Jednym z zadań dokonywanej obecnie przebudowy studiów

humanistycznych jest niewątpliwie zapewnienie im właściwego miejsca. Jedno jest wszakże jasne: przejawiający się dziś kryzys zamilowań klasycznych wśród młodzieży nie jest w zasadzie ani skutkiem ograniczenia nauki łaciny w szkole, ani jakiejś ogólnej, plebejskiej tendencji odwrotu od klasycznych źródeł kultury. Jest procesem dawniejszym i głębszym. Przyczyn jego dopatrywać się należy nie w niechęci kultury ludowej do całości feudalno-mieszczanckiego dziedzictwa, w którym spadek klasyczny tak poważną odgrywa rolę, niechęć taka bowiem nie istnieje, ale we wspomnianym wyżej, klasowym charakterze, jaki miały w kulturze dotychczasowej studia filologii klasycznej.

Brzmi to może nieco abstrakcyjnie. Uwagi niniejsze zrodziły się jednak na gruncie dość konkretnym. Na marginesie rozważań nad ksiązką bardzo znaną dla wyżej wspomnianego zjawiska przeżywanego współcześnie kryzysu zamilowań klasycznych. Myślę tu o wydanej ostatnio pierwszej powojennej książce znakomitego pisarza i znawcy kultury klasycznej Jana Parandowskiego pt. „Godzina Śródziemnomorska”<sup>1)</sup>

## II

Jak żyli dawni Grecy i dawni Rzymianie? O czym mówią nam zabytki kultury antycznej? Do jakich wniosków doprowadza znaleziona rzymska moneta, zatarta inskrypcja na przydrożnym słupie z czasów Marka Aureliusza, encyklopedyczny „Corpus inscriptionum latinarum”, wzmianka o zaćmieniu słońca w wierszu lirycznym Archilocha, wietłomowy, lipski „Ausführliches Lexicon der griechischen und römischen Mythologie”, rozmyślenia nad Cezarem, Cyceonem, Horacym?

Zadna sonda zapuszczone w przeszłość nie jest w stanie powieścić nam o niej wprost. Każda konstrukcja historyczna jest wielką metaforą. Mówi o czasie przeszłym przez pryzmat naszych o nim wyobrażeń. Ale są wielkie metafory wielkich realistów, w których obiektywizm spojrzenia jest celem, w których podmiot badawczy zatracza się w dążeniu do ustalenia istotnych i typowych cech przedmiotu, jego możliwie najbardziej realnego wyglądu. Taka konstrukcja próbuje ustalić związki przyczynowe, wynikające z praw rządzących każdą rzeczywistością dziejową. Uwzględniła specyficzne właściwości miejsca i czasu, ale podporządkowuje je ogólnym zasadom historycznym, społecznym i ekonomicznym prawidłowości. W ten sposób powstają wielkie koncepcje i wielkie wizje przeszłości, będące dla współczesnych wymowną i zrozumiałą prawdą na dzisiaj, przejrzystą aluzją. Nie ma w nich kokieterii erudyty zakochanego we własnym gęście twórczym. Nie ma podkreślenia osobistego charakteru stosunku, łączącego badacza z badanym przedmiotem.

Inaczej rzecz wygląda, tam, gdzie nie tylko sama historia, ale także własny stosunek pisarza do niej staje się przedmiotem jego zainteresowania. Konwencja służąca gdzie indziej przedstawieniu wydarzeń, tutaj staje się sama w sobie źródłem podniety i radości dla rozmakowanego w niej badacza i artysty, fakty historyczne przestają ukazywać się nam w logicznych związkach, wysnutych z zestawienia źródłowych danych z wiedzą o prawach rządzących rozwojem zjawisk. Zamiast dzieł społecznych otrzymujemy plastyczny często wprawdzie, ale jakgdyby sztucznie zblizony i powiększony obraz przedmiotów, z których dzieje to dają się dopiero wyproprowadzić. Zamiast dynamicznego ujęcia składającego się na pełnię życia uciwienstw — ujęcie imponujące bogactwem oprawy, lecz statyczne.

Dla badacza szukającego w dziełach minionych potwierdzenia tego samego rzędu prawidłowości co te, które normują rzeczywistość współczesną, pomniki historyczne, źródła rzeczowe mają wymowę tropów, po których iść należy dalej, nie zatrzymując się nad nimi, nie dając urzec się i omamić ich własną urodą. W starych inskrypcjach nie ma nic ponadto, co da się wyinterpretować jako ich wartość społeczną, obyczajową, artystyczną.

Dla miłośnika oddanego kultowi starych monet i kamieni, przegladającego się na tie tych obiektów swojej szlachetnej namietności w lustrze własnej wyobraźni, — zacięra się droga dalsza. W obrazach, które artysta taki tworzy, konwencja kulturalna jest celem samym w sobie. Od zabytkowych przedmiotów wiecie droga nie do tego, kto je wytworzył, lecz do tego kto je ogląda, kto się nimi nasyci, napawa ich niezwykłością. Historyka, badacza i artystę wypiera kolekcjoner antycznych osobliwości, myślącego czytelnika — maniaka-erudyta, punktem doświadczenia staje się nie wiedza o literaturze lecz bibliofilstwo, nie wnioski o życiu dawnych pokoleń, lecz kult muzealnictwa.

## III

W „Godzinie Śródziemnomorskiej” Parandowskiego w kilku odmiannych powraca do nas wizerunek człowieka opętanego czarem dziedzictwa kultury starożytnej. Z uśmiechem pobliźliwego lecz i serdecznego sentymentu kreśli autor sylwetki uczonych dziwaków w szkiełach „Między lampą a świtem” oraz „Rodecki”, wywołuje nastroj niepokoju i tajemniczości w opowieści o uczonym mistyku i samobójcy nazwiskiem Max von Trotta.

Skierowanie uwagi czytelnika na ów maniackalny gatunek uczonego-pomyślnika mógłby nie budzić szczególnej uwagi, jako pozostający w granicach dość utartych konwencji pojęciowych z tego zakresu, gdyby nie niepokojący wewnętrzny związek, jaki zachodzi pomiędzy przedstawieniem owych postaci a stanowiskiem własnym pisarza, zaznaczającym się w tych samych, a także i innych szkicach. Stanowisko to dąoby się określić jako zasadniczo antyrealistyczne — koncepcja historyczno-literacka całego zboru, wiążąc się ściśle z leżącym u jej

<sup>1)</sup> Jan Parandowski „Godzina Śródziemnomorska” Wyd. Gebethner i Wolff, W-wa 1949, str. 329.

podstaw idealistycznym stanowiskiem filozoficznym autora.

Na czym polega antyrealizm „Godziny Śródziemnomorskiej”? Przede wszystkim na przejawiającym się w różnych postaciach dążeniu do zatarcia granic czasu z jakim autor chce nas powiązać w swoich essayach. Traktuje on to zatarcie granic czasu jako formę zbliznienia nas do epoki starożytnej, która w ten sposób ma się okazać rzekomo bardziej zrozumiałą współczesności. W niektórych spośród nich nie akcja, wiatleż i ściśle konwencjonalnej, dzieje się niby współcześnie, ale jest rzeczą jasną, że nie chodzi o współczesność, którą reprezentują papierowe dialogi urzędników polskiej ambasady w Rzymie („Rodecki”) czy też mateljskie

powtórzyć po starożytnych świadek rozmowy współczesnego poety z cieniem Horacego, który stwierdza, że „niema już nowych myśli. Są tylko nowe kombinacje starych, odwiecznych idei”.

Tu zaznaczyć warto, że postacie występujące w fikcyjnych dialogach u Parandowskiego nie spierają się właściwie o idee. Nie ma między nimi w gruncie rzeczy żadnych różnic. To co głoszą jest rozłożonym na głosy monologiem mieszczańskości filozofa kultury.

Trzecią filozoficznych poszukiwań Parandowskiego jest poszukiwanie tak w dziełach starożytnych, jak w ogóle w kulturze i jej przejawach, odwiecznej harmonii i jedności tych idei. Skąd je wziąć wśród ogólnej niepewności, wśród splątanych, kłę-



Akropol: Propyleje i świątynia Nike

gruchania uczonego pantoflarza i jego żony urządzającej prozno podwieczorki („Między lampą a świtem”). Taka „współczesność” jest konwencjonalna świadomość. Zarówno tam, gdzie formą opowiadania jest narracja w pierwszej osobie (bez względu na to czy będzie miała ona postać relacji samego autora, czy fikcyjnej, wprowadzonej przezeń postaci jak np. narrator typu Conradowskiego w szkicu pt. „Max von Trotta”, a nawet monologu słupa młowego z Via Postumia), jak tam, gdzie występują fikcyjne dialogi postaci historycznych i zmyślonych, sobie współczesnych (Cezar i Cyceon) lub odległych w czasie (Horacy i poeta współczesny) — wszędzie, jako zasada, przyjęta jest imaginacyjna wędrowka przez stulecia, znany z dawien dawna w literaturze typ fantastyki intelektualnej.

Ale podczas gdy tradycja literacko-filozoficzna starożytności i wieku oświecenia właśnie owo usunięcie granic czasu traktowała jako pożytkową konwencję, ułatwiającą ukazanie czystego konfliktu idei, co łączyło się z racjonalistyczno-poznawczym stosunkiem do rzeczywistości — współczesna wędrowka w czasie, w essayach Parandowskiego, jest sama w sobie celem, sama w sobie, jako forma artystyczna, wykładnikiem określonej ideologii, i to ideologii nie stawiającej sobie bynajmniej celów racjonalistyczno-poznawczych.

Kwintesencja filozoficzna szkiców Parandowskiego jest bowiem przede wszystkim dająca się łatwo metodą takiej imaginacyjnej wędrowki w czasie zasugerować stwierdzenie, iż wszystko co stanowi treść dzieł dawnych i nowych, co ulega niżej wspomnianemu działaniu czasu i nieubłaganym prawom przemijania, jest, mimo różnorodności form, w swej istocie filozoficznej tożsame i niezmiennie.

Tożsamość i niezmienność cełtuje metody postępowania polityków starożytnych i współczesnych: już starożytni ryli np. na swych monetach slogany propagandowe („Między lampą a świtem”). Nie nie może zadziwić ani wytrącić z filozoficznej zadumy tego, kto poznał historię stupa młowego, świadka tyłu epok i form egzystencji

biących się teorii i hipotez, jak ją wyproprowadzić z zetlaych, rozmięconych przez wiatr dziełwieku tomów „Roschera”, pekatę encyklopedii wiedzy starożytnej, tak samo chwylnej w swych hipotezach i teoriach?

Rezygnując z pisarskich prób realistycznej i racjonalistycznej interpretacji zjawisk społeczno-historycznych, o których świadczą tak umiłowana przez pomniki świata starożytnego, Parandowski buduje w swych essayach idealistyczną fikcję owego świata, nową jak gdyby transpozycję tego fikcyjnego obrazu dzieł starożytnych, jaki wysnuć się daje z niezmiernego bogactwa wątków mitologicznych, ujętych w tradycyjny, idealistyczny sposób. Buduje fikcję literacką, pozbawioną wewnętrznych dialektycznych przeciwieństw, jakie musiały przeleć cechować historyczną rzeczywistość świata starożytnego, gdyż cechują one każdą rzeczywistość historyczną. Fikcję opartą na antyrealistycznej zasadzie prymatu konwencji artystycznej nad koniecznościami wynikającymi z praw tej historycznej rzeczywistości.

I nie jest tutaj żadnym kontrargumentem fakt, że Parandowski ma do tego prawo, bo tworzy fikcję artystyczną. W odniesieniu do najbardziej odległych od nas epok można stworzyć wizję całkowicie realistyczną, podporządkowując artystyczną konwencję zasadom typowości i prawdopodobieństwa. W „Godzinie Śródziemnomorskiej” rzecz ma się inaczej. Dowodzi nam tego zarówno forma składających się na te książki utworów, jak i bezpośrednio wypowiedzi ich autora.

Forma ta polega na krańcowym konwencjonalizmie założeń artystycznych, gdzie niewątpliwie nieważne są realia ani uproszczone rysunek psychologiczny, ważna natomiast „wewnętrzna treść filozoficzna” i skończenie piękny — w ramach poetyki autora — kształt jej przedstawienia w utworze. Forma ta wynika z poetyki, podnoszącej autonomizację, przeżywcio emocjonalną wartość samego słowa Poetyki, która ma tu także swoje teoretyczne uzasadnienie.

Wkładając ją w usta starożytnego poety, twierdzącego, że „nie ma nowych myśli”, że „być może wszystkie zostały już wypowiedziane”, Parandowski konstatuje bowiem dalej, że jeśli może być na świecie coś nowego i świeżego, to tym czymś są nasze wrażenia i przeżycia. „Każda dusza zawiera w sobie mieszanie wiekuiestego radości i wiekuiestego smutku, które w tym samym układzie nigdy się nie powtarzają” — w przeciwieństwie do zasadniczej powtarzalności myśli. Pisarz jest wyraziście tym przeżył i nastrojów: „Dokopaliliśmy się do głębokich pokładów duszy. Odkryliśmy tajemne labirynty, których rodk nie oświetli. Poznałmy władzę instynktu” — pisze. I dalej stwierdza: „Dzisiaj instynkt nie nie zataja, tylko odsłania. To nasze trzecie oko puszczane w głąb duszy”.

Z uprawnień przyznanych instynktowi i przeżyłom, z sceptycyzmu w stosunku do naszych władz poznawczych wynika zarówno ideologia jak i estetyka Parandowskiego. Zasadniczy jako wyraz filozoficznych i estetycznych poglądów autora „Godziny Śródziemnomorskiej” szkicu pt. „Rozmowa z cieniem” kończy się w sposób następujący:

„Piotr: Powiedz mi, Horacy, który jesteś mądrzejszy o całą przepaść grobu: dlaczego do wszystkiego i po co, i dokąd?”  
Horacy: Zaszedłem do Ciebie, aby pogawędzić o rzeczach ziemskich i używałem języka, który obaj rozumiemy. Jakże możesz żądać bym zaczął mówić słowami, których niepodobna przetłumaczyć?”

Piotr: To znaczy, że ani nasza myśl, ani nasze słowo tamtych rzeczy nie dosięga?

— Nie dosięga — zabrzmiało jak echo i na ścianie, na której rysował się dotąd cień poety, nie było już nic widać.”

W stanowisku filozoficznym Parandowskiego odnaleźć można echa wszystkich

wahań i zwątpień pokolenia „ostatnieci europejskich” epoki, która pogrzebała resztki humanistycznych tradycji kultury mieszczańskości. Nic dziwnego, że jeżeli mówiono o wznieśleniu się naszej literatury okresu międzywojennego „na poziom europejski”, — a o twierdzeniach tego rodzaju rozstrzygała właściwie ocena twórczości kilku najwybitniejszych pisarzy — nazwisko Jana Parandowskiego znajdowało się wśród nich zawsze na jednym z pierwszych miejsc.

I nie jest przypadkiem, że sceptycyzm i agnostycyzm autora „Nieba w płomieniach” już w przedmowie do powojennego wydania tej książki ustąpił miejsca fideizmowi, wypierającemu się pewnych akcentów własnej, dawnej twórczości. Logiczne konsekwencje ulegania prądom nielary w zwycięską moc człowieka, rozumem i wolą kształtującego historię, nie mogły być inne.

## IV

„Jeszcze długo nie będzie się można oddzielić myślą od kłęk tego czasu nawet w rzeczach pozornie z nim niezwiązanych. Mówię: pozornie, ponieważ w istocie wszystko co czynimy wiąże się z naszym czasem i jego sytuacją ton da się bez trudu odkryć w tym zbiorze” — pisze Parandowski w przedmowie do swej książki i niewątpliwie ma słusność. „Stiumiony ton” czasu da się w niej bez trudu odczytać. Tylko że nie wszystko co wiąże się z tym samym czasem ma ton jednakowy. Dlatego nie wystarczy, jeżeli powiemy, że, mimo pozornie odległego tematu, „Godzina Śródziemnomorska” jest książką współczesną. Musimy dodać, że jest to książka o wyraźnej ideologicznej wymowie, o wyraźnie dającej się odczytać treści kulturalno-politycznej.

Jakież to związki między naszą epoką a epoką starożytną zobaczył autor „Godziny Śródziemnomorskiej”? Jakże odnalazł w niej analogie dla czasu, w którym przed prawdziwymi humanistami stanęła jasna i oczywista konieczność wyboru postawy własnej i opowiedzenia się za lub przeciw czasom clemności? Jakże ukazywał żywe treści ludzkom walczącym o wolność i godność człowieka, ludzkom walczącym z fałszywym? Może wskrzesił tradycje Leonidasa, Mucjusza Scaevoli, może nawlazał do cnót obywatelskich greckich i rzymskich jak czynili pisarze epoki Renesansu, Oświecenia i heroicznego okresu mieszczaństwa? Nie! Miłośnik kultury klasycznej w roku 1949 ukazał im odwieczny sens symbolu ukrytego w chłonce wigilijnej. Treść epoki, która odsłoniła nam istotę walki o godność ludzka zobaczył nie w owej walce i nie w myśli z nią sprzymierzonej, ku niej obróconej, ale w jak najzupełniejszym wyizolowaniu się, odgrudzeniu od jej nurtu.



Atena Lemnia (Bologna)

Data „24.XII.1941” postawiona pod opowiadaniem „Pokój wigilijny”, pod tą kartą z pamiętnika człowieka, który świadomie stara się nie zauważyć walki jaka toczy się dokoła niego, musi mieć dla tych co walczą ton wręcz prowokacyjny, zakrawa poprostu na ironię. Trudno o smutniejszy rodzaj powłazania treści własnej epoki z wzorami tradycji kulturalnej.

Jedenastego szkiców Parandowskiego mówi nam o związkach, jakie nas łączą z kulturą klasyczną, ale związki te pojmujemy w sposób, będący ostatecznym i krańcowym rezultatem przemian, jakim podległy wyobrażenia o nich w toku rozpadu form kultury mieszczańskości. Wskazuje nie na to, co stanowić może dzisiaj istotną treść związków z kulturą klasyczną, nie na dzieje społeczeństw, rozpatrywane z punktu widzenia żywych idei społecznego rozwoju, nie na żywe tradycje humanistyczne, do których nawiązywali zawsze przedstawiciele wielkich epok sztuki czerpiące z klasycznych wzorów, do których nawiązywali budowniczo socjalizm.

Jan Parandowski pisze pięknie o kamieniach i monetach, o uczonych, u których da się wykryć „niewątpliwie wzajemny związek między consecutio temporum a kształtem kapelusza”, o sztuce odwranej już od swych życiowych związków, o zatracających humanistyczny sens obumarłych formach kultury starożytnej. Jest wyraziście i plewka antyku w takiej postaci, w jakiej został nam on przekazany przez mieszczańską wiedzę i mieszczańską filozofię końca XIX i początku XX wieku. Do osiągnięcia tej wiedzy i tej filozofii jest w stanie dodać co najwyżej jeszcze jeden znak zapytania, jeszcze jeden akcent sceptycznego powątpiewania w wartość poznawczą ludzkiego wysiłku. Jedyną odpowiedź na własny sceptycyzm znajduję w fideistycznej rezygnacji.

## V

Jak się to więc dzieje, że starożytność klasyczna, której renesans uskrzydlał porwy humanistów Quinquagesima, która później stanowiła czynnik doskonałej mia-

(dokończenie na str. 7-ej)

# NOWE PRZEKŁADY POEZJI RADZIECKIEJ

ALEKSANDER BŁOK

## DOM PUSZKINA

To Puszkowskiemu Domu  
Nazwa w Akademii Nauk!  
Dźwięku jasny i znajomy  
Którym serce me zadrżało!

To na rzece uroczystej  
Chrzęsty w kry lodowej szklawie  
Parostatku sygnał czysty  
Z parostatkim w perspektywie.

Starożytny Sfinks patrzący  
W nurt powolny z brzegów stromych,  
Jeździec z miedzi wlatujący  
Na rumaku nieruchomym.

Nas namiętny smutek palił  
Ponad tajemniczą Newą,  
Gdyśmy czarny dzień spotkali  
Białą nocą ogniobrewą.

Jakie jasne jutrznie w dali  
Ukazywał nam bieg rzeki,  
Ale myśmy przyzywali  
Nie te dni, lecz przyszłe wieki.

Kłamstwo tamtych lat ucisku  
Porzucaliśmy w godzinę  
Przewidując przyszłość w błysku  
Poprzez mgły różano-sine.

Wolność zabronioną — w odach  
Wysławialiśmy, jak w dni twe,  
Rękę nam, Puszkiniel! podaj,  
Pomóż w burzy, w niemej bitwie!

Czyż nie twoich dźwięków słodycz  
Porywała nas w tych latach?  
Czyż nam nie dał skrzydeł młodych  
Twój, Puszkiniel, młody zapal?

Oto czemu tak znajomy,  
Bliżsi sercu, co zadrżało,  
Dźwięk, Puszkowskiemu Domu  
Nazwa w Akademii Nauk.

W zachodzące patrząc niebo  
Wśród mgły nocej, oto czemu  
Z bieli placu Senackiego  
Cichy pokłon niosę jemu.

Przełożył Mieczysław Jastrun



Aleksander Blok



Aleksiej Niedogonow

ALEKSIEJ NIEDOGONOW

## Z POEMATU „SZTANDAR NAD SELSOWIETEM“

Na polach śnieg, promienie w oku:  
zimowej dekoracji blaski!  
Zima jak bajka świeci wokół.  
Przez mróz zakuty przestwór płaski  
w twardym ściśnięty jest otoku.

Trzeszczą pod słońcem półwystygłym  
ogrody ziemi osędzianej.  
Śniegi aż po okienne szyby  
od wschodu całą wieś zawiąły.

Zawiały nie po prostu może,  
aby nad dachem wiatr je pieścił,  
lecz aby zasyły mogły zorze  
powstrzymać do koguciej pieśni.

Mróz od niechcenia ponawieszał  
przed świtem w nieporządku dziwnym  
dary niebiosów na oblerzach  
brzoź z dni carycy Katarzyny.

I w takim czasie, w czasie takim  
do selsowietu poprzez śniegi  
biegną od wszystkich furtek szlaki  
owiane wiejskim dymem lekkim.

A od kolchozowego proga  
coraz to węższa w dal się ścięła  
niebieszcząc się zimowa droga...  
Saneczek kasimowskich szeleści,  
I ubarwione przez mróz krewki  
za oknem uskrzydłone zorze:  
na drodze wozów chorągiewki  
na zryp ciągnące się ze zbożem.

I zakochany w traktu nurtach,  
w szybach przydrożnych domów brzęczą,  
okręt z rejonu, dwutonówka  
z szoferem Kuzminichem Sieńką.  
A przed kabiny szkłem zamglonym,  
zasłonę zórz zsunawszy ryżą,  
jastrzębi, zlekka przechylny,  
nawpół wystygły biegł horyzont.

Przełożył Seweryn Pollak



Edward Bagricki

EDWARD BAGRICKI

## A. S. PUSZKIN

Gończy miesiąc płonie u zatok  
Na wschodzie nad samotnych skał pustkowiem...  
Tutaj stał On,  
Powiewał płaszcz szeroki,  
Byrona tu skandował w dźwięcznej mowie.  
Tutaj gołębim slym upierzeniem  
Przed nim się noc  
I morze rozpościera,  
I cicho, cicho przychodzi natchnienie,  
Przenika w serce  
I jak dym umiera...  
I cicho, cicho  
Przychodzi natchnienie,  
Przenika w serce  
I oczy olśniewa...  
Fala i noc mliarowym uniesieniem  
Skladają jamb —  
I oto jamb ten śpiewa...  
Od chwili tej kto błąka się brzegami,  
Wśród pustych piasków i gdzie pluszcze wioślo,  
Ten słyszy sercem, słuchem i oczami  
Puszkina wierszy szelesty i łoskot...  
I w każdą skałę  
Przeniknęło słowo,  
I pluszcze słowo  
Wśród grobli i tam,  
Przypływa fala i odpływa znowu  
I w tej pogoni zapieni się jamb...  
I ja, przechodząc, do tej pory lubię  
Fal zimnych jamb, stąpamie wód mliarowe,  
I mile mi są Negra wargi grube  
I wystające kości policzkowe.  
I na bulwarze  
U ławki żelaznej  
Zda mi się  
Patrzysz jak przez mgieł tumany  
Z Italii milej dla twej wyobraźni  
Płyną skrzydlate statków karawany...  
Ja przenosiłem cię w trwodzie i w bojach,  
I nieraz pośród armatniego grzmołu  
Pieśni śpiewała mi Mariula twoja  
Przed ogniem opuszczonego namiotu...  
Przepląwa Dniestr...  
Już tragicznego nie zniosę ciężaru,  
Atrament wysechi,  
Zgasły rymów dźwięki,  
Dajże mi muzo klasycznego czaru  
Pistolet, który niegdyś wypadł z ręki.

Przełożył Mieczysław Jastrun

ALEKSANDER TWARDOWSKI

## PRZEPRAWA

(Fragment z poematu „Wasilij Tiorkin“)

Do przeprawy! Do przeprawy!  
Tu brzeg lewy, tam brzeg prawy,  
Śnieg chrząpawy, kručą kra...

Temu pamięć, temu sława,  
Temu ciemna woda gra —  
Ani śladu, ani dna.

Pierwszy z wojsk kolumny, nocą,  
Krusząc rzekę w lód okutą,  
Na pontony wszedł łomocąc  
Pierwszy pluton.  
Odechnęli, popłynęli  
I zniknęli. Na pontony  
Inni wchodzą, pochyleni —  
Płynie pluton za plutonem.

Jako tratwy szły pontony,  
Huknął jeden, drugi ponton  
I żelaznym zagrzniął tonem  
Niby dach pod stopą gromką.

Dakądś tam żołnierze płyną,  
Bagnet w mroku ukrywają,  
Całkiem swoli, z twarzą inną,  
Jakby siebie nie poznając,  
Już do siebie niepodobni,  
Obcy sobie dawnym, płyną,  
Już surowsi, bardziej zgodni,  
Jakoś tobie drożsi od nich,  
Których znałeś przed godziną.

Idą chłopcy twardym krokiem,  
Życie służy im bojowe,  
Jak szli w siedemnastym roku  
Towarzysze ich — ojcowie,  
Kroczą tą surową drogą,  
Którą już przed dwustu laty  
W trudzie z flintą szedł skałkowi  
Ruski żołnierz na armaty.

Nieraz ich próbując męstwa  
Obok kędzierzawych głów  
W bitwach śmierć świstała częsta,  
Zali ich oszczędzi znów?

Wsparli się i w pocie skroni  
Prą sterując drągiem prostym,  
Woda ryczy z prawej strony,  
Rwąc pod wysadzonym mostem.

Już na środku rzeki wartkiej  
Woda znosi ich wirując...

Woda wyje w ciasnym gardle,  
Bryły lodu rozpryskując,  
Śród pogiętych belek fermy  
Szarpie się w pianistym śniegu...

Pierwszy oddział w rzućie pewnym  
Już dosięga drągiem brzoza.

Przełożył Wiesław Karcewski



Aleksander Twardowski



Stiepan Szczipaczow

STIEPAN SZCZIPACZOW

\* \* \*  
I cóż z wieszczenia! To stulecie  
Napewno taki wiersz zapomni,  
Który w próżności swej poeci  
Piszą dziś z myślą o potomnych.

Jeszcze bezładne tam pustynie,  
Tu — wszystka radość z bólem, z trwogą  
Ja wierzę w wiersze te jedynie,  
Bez których ludzie żyć nie mogą.

1946 r.

## DO POTOMNYCH

Nie ma was jeszcze z nami: blask, powietrze, gleba  
Z was dalekich. Mogliśmy o was tylko wróżyć,  
Ale oto przed wami zdawać sprawę trzeba,  
Potomni, którym dzisiaj już musimy służyć.  
Trudny był bój i nieraz wątpliwy sami,  
Ze już nie obronimy dali wieków przyszytych,  
Kiedy w nas wróg raz po raz walił granatami,  
To i do was napewno dobiegły odpryski.

1946 r.

\* \* \*  
Miłość nauczcie się doceniać,  
W dwójnasób ceniąć ją z latami,  
Nie na laweczce to westchnienia  
I nie przechadzki pod gwiazdami.

Wszystko w niej będzie: śnieg, zamiecie,  
Bo życie przeżyć trzeba razem.  
Dobrą pieśń trudno złożyć przecie,  
A miłość pieśni jest obrazem.

Przełożył Seweryn Pollak

SPÓŁDZ. WYDAWNICZO-OŚWIATOWA „CZYTELNIK”

KONSTANTY PAUSTOWSKI

Przełożył PAWEŁ HERTZ

Nasz współczesny

Nowości:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LATO W NOHANT

Komedia w 3 aktach

str 87 zł 180

WITOLD WIRPSZA

STOCZNIA

str 47 zł 120

W. BIANKI

W LEŚNYCH DOMKACH

Tłum. W. GRODZIENSKA

str 87 zł 200

JOHANNES STEEL

POLITYKA U.S.A. W OCZACH AMERYKANINA

str 46 zł 50

BOHDAN CZESZKO

POCZĄTEK EDUKACJI

Opowiadania

str 134 zł 150

KLUB ODRODZENIA

TADEUSZ BREZA

NIEBO I ZIEMIA

Tom I

str 320 K. O.

KLUB ODRODZENIA

TADEUSZ BREZA

MURY JERYCHA

str 334 K. O.

LANGSTON HUGHES

WIELKIE MORZE

Tłum. J. KYDRYŃSKI Autobiografia

str 281 zł 300

Biblioteka w Prenumeracie

KLUB DOBREJ KSIĄŻKI

HOWARD FAST

BITWA POD VALLEY FORGE

Tłum. J. KAREN

str. 263 K. D. K.

JOHN BOYTON PRIESTLEY

JASNY DZIEŃ

Tłum. M. WISŁOWSKA

str 432 zł 450

Dwór we wsi Michajłowskiej: pokój ojca Puszkina — ciemny, o niskim suficie, zastawiony starymi meblami. Wśród tego starego wnętrza widnieje tylko jedna jasna plama — barwny szlafrok Siergieja Lwocicza.

Za oknem widać rzeczkę Sorocz, wzgórza, leśisty horyzont. Pochmurny dzień jesienny. Wiatr gna opadłe liście.

Siergiej Lwocicz stoi koło pieca. Z pieca unoszą się kłęby dymu. Siergiej Lwocicz w rozpaczy zalamuje ręce.

Siergiej Lwocicz (wola): Hej, do mnie! Kto tam jest? Arisza, Pietia! Gdzie się podziewacie?

(Do pokoju wbiega człowiek w płaszczu żołnierskim, bez czapki. Siergiej Lwocicz ze strachem odskakuje) — Kto to? Nie znam cię! Wołam swoją służbę — nie ciebie! Jak śmiałeś wejść?

Człowiek w płaszczu: — Pan głośno wołał. Myślałem — może się co stało?

Siergiej Lwocicz (przygląda mu się): — To chyba Kuźka Dieriułkow?

Człowiek w płaszczu: — Tak jest, Kuźma. Siergiej Lwocicz — (uspokaja się, odpedza chustką dym) — Ano włącz, otwórz szyper.

(Kuźma bierze taburet, staje na nim, grzebie w piecu)

Kuźma — Szyber otwarty, ale do połowy. A ten piec, to już taki, że dymi.

(Wchodzi Arina Rodionowna)

Arina Rodionowna — Jezu Chryste! Znów cały dom pełen dymu, aż oczy wszystkim wyżera. Ile razy mówiłam, że trzeba piecę naprawić. Ale nie — nie chcą się słuchać.

Siergiej Lwocicz — Naprawić! Ciebie nie pytał! Jak pojedziemy do Petersburga, wtedy naprawisz. Ja nie pozwolę, żeby tu przy mnie urządzali śmietnik.

Arina Rodionowna — Ale u pana i tak pełno śmieci.

Siergiej Lwocicz — Czyś ty otwierała szyper?

Arina Rodionowna — Nie otwierałam. Siergiej Lwocicz — Nie otwierałam! Niczego nie umiemy zrobić po ludzku. Uważaj-no, starucho! Jak przyjechał Aleksander Siergiejewicz, to ty już tylko o nim, tylko o nim... Wciąż tylko koło niego skaczesz. Widzę dobrze.

Arina Rodionowna — Grzech niewielki. Siergiej Lwocicz — Otwórz-no okno. I podaj mi ciepły szlafrok. (Arina Rodionowna podaje mu ciepły szlafrok i otwiera okno). Październik na dworze, a tu trzeba śledzić przy otwartych oknach! (Wchodzi Nadieżda Osipowna, matka Puszkina). To nie dom, tylko jakiś kocz podróży! Plecakara rozbójników!

Nadieżda Osipowna (do Siergieja Lwocicza): — Widocznie już o wszystkim zapomniałeś, Siergieju. To dom Hannibalów. I nie powinienes wymyślać na ten dom, jeśli sam w nim mieszkasz.

Siergiej Lwocicz — Moja duszko, nie mówię o Hannibalach. To godna szacunku rodzina. Ale dom mimo wszystko tandetny!

(Arina Rodionowna macha ręką i odchodzi)

Nadieżda Osipowna — O tym jeszcze porozmawiamy. Kim jest ten człowiek?

Siergiej Lwocicz (przypomina sobie o Kuźmie). — Tak, bratku. Ciebie przecież ogolił do wojska. A ty znów się tu zjawiasz. Czyś przypadkiem nie zbiegł? Uważaj!

Kuźma — Nie, nie zbiegłem. Zwoinił mnie, bo byłem niezadowolony.

Siergiej Lwocicz — Gdzieś służył?

Kuźma — W Odessie.

Siergiej Lwocicz — T...a...k! Więc w tej samej byłeś Palmirze, co Aleksander Siergiejewicz. A czyś tam czego nie słyszał o Aleksandrze Siergiejewiczu?

Kuźma — A pewnie, że słyszałem. Nawet była okazja, żeśmy się spotkali. Aleksander Siergiejewicz szedł brzegiem koło naszej baterii, no i zabił go. A nasi oficerowie, jak się dowiedzieli, kim jest, znaczyli się, Aleksander Siergiejewicz, zaraz kazali ludziom biec do armat i dali salwę na jego cześć!

Siergiej Lwocicz — Co ty pleciesz, kłamczuchu! To niemożliwe!

Kuźma — Bogiem kinę się, panie! Sam byłem przy dziele.

Siergiej Lwocicz — Na cześć Aleksandra! (Do Kuźmy) Odejdź! (Kuźma wychodzi. Siergiej Lwocicz zwraca się do Nadieżdy Osipowny). Słyszałaś? Salwa powitalna na cześć mojego syna. A jednak — to jest talent. Dziedziczny.

Nadieżda Osipowna — Czy czasem nie po tobie?

Siergiej Lwocicz — Jakże możesz w to wątpić, moja duszko. Przypomnij sobie mojego brata, Wasilija Lwocicza. Pierwszorzędnego poeta. Cała Rosja zaczytywała się jego „Niebezpiecznym sąsiadem”.

Nadieżda Osipowna — Poemat dla służby!

Siergiej Lwocicz (nie słucha jej). — Jeśli przyjrzed się z boku, to co ujrzymy? Utalentowany i marnotrawny syn utalentowanego i czciwego ojca. On ma mnie za nie! Ale ja to cierpliwie znoszę! W pokorze chrześcijańskiej. A także i przez świadomość, że sławę swoją mnie zawdzięcza. Chociaż w swojej pysze tego nie rozumie. Potomni oddadzą mi należną sprawiedliwość. Zajmę swoje miejsce w pamięci ludzi oświeconych.

Nadieżda Osipowna (zjadliwie). — A swój dziki temperament zawdzięcza Aleksander oczywiście mnie! Prawda, że tak myślisz?

Siergiej Lwocicz — Wy, Hannibalowie, wszyscy jesteście jacyś tacy... nierównoważeni.

Nadieżda Osipowna — Jeśli Aleksander ma w sobie jakieś oznaki talentu, to dlatego, że pochodzi z naszego rodu.

Siergiej Lwocicz (nie słucha jej). — Nikt tak nie cierpi wskutek jego złych cech charakteru jak ja. Nikt! Gdybyś mogła przeniknąć w głąb mojej duszy, to przejałby cię dreszcz (bije się w pierś). Wzdzisz przed sobą najniebezpieczniejszego ze wszystkich ojców!

Nadieżda Osipowna (obojętnie). — Czemuż to jesteś taki nieszczęśliwy?

Siergiej Lwocicz (wznosi oczy ku górze, z afektacją). — Któż może zrozumieć tragedię ojca, który w imię obowiązku wobec ojczyzny i cesarza musi stać się doradcą więziennym własnego syna! Oto temat, godny Szekspira! (Za oknem słychać niki, często powtarzający się stuk). Co to? Znowu szatkują kapustę! Natychmiast przerwać to głupie zajęcie!

Nadieżda Osipowna — Nie wtrącaj się. Ty i tak się na tym zupełnie nie znasz.

Siergiej Lwocicz — Wszyscy się sprzymierzyli, żeby mnie puścić z torbami. Wszyscy! I ty wraz z nimi! I ty, Brutusie! (Nadieżda Osipowna śmieje się gniewnie). Ile razy mówiłem, żeby kwasic kapustę całymi głowami!

Nadieżda Osipowna — Po co? Nie rozumie.

Siergiej Lwocicz — Jak to — po co? Dla mnie wasza kapusta jest niepotrzebna. Możecie ją potem dać świniom. Mnie trzeba mocnego, kapuścianego soku, który ściera na dno beczki. Z całych główek.

Nadieżda Osipowna — Czy do picia po pijalństwie?

Siergiej Lwocicz — Zrozum, moja duszko! W tym kryje się tajemnica kobiecego wdzięku. Która z kobiet nie stara się o to, by mieć świeże policzki i delikatną, elastyczną skórę? W Paryżu nie ma ani jednej piękności, która by się nie myła sokiem z kapusty.

Nadieżda Osipowna — My i bez tego jesteśmy ładne. Bez kapuścianego soku.

Siergiej Lwocicz — A ja wcale się nie o ciebie troszczę, mateczko. Tobie chwata Bogu stuknęło ponad pięćdziesiątkę. Ja się troszczę o nasz majątek. Wszystkie posiadłości są zastawione lub też zastawione są kwity zastawne. Cesarz mi pieniądze nie da, nawet nie ma o czym mówić. Oczywiście, jeśli się ma o takim syna, jak Aleksander! A skąd brać pieniądze? No, pytam się ciebie? Przecież z waszych fiszbinów, wstążeczek i pantofelków pieniądze nie wydobędę.

Nadieżda Osipowna — Więc chcesz handlować sokiem kapuścianym?

Siergiej Lwocicz — Tak, wyobraź sobie! Będę go sprzedawał do najlepszych magazynów Moskwy i Petersburga. Sok przedcedzą, uszlachetnią lawendą, rozleją do kryształowych flakonów. I gotowe! A nazwę można wymyślić jakąś taką... wdzięczną: „Pocałunek Nereidy”, albo „Rumiane jagody”.

Nadieżda Osipowna — Jesteś po prostu głupi!

Siergiej Lwocicz (osuwają się w fotel, osiupali). No, wiesz mateczko. Dość mam jednego Aleksandra!

Nadieżda Osipowna — A właśnie, Aleksander! Przyszedł do niego list. Z Petersburga.

Siergiej Lwocicz — Czemu nic nie mówiłaś? Daj-no zaraz ten list. Ale zaczekaj, zaczekaj, zamknij okno. I zapuść zastony. Żeby tylko Aleksander nie spostrzegł! Wy, kobiety, to już naprawdę jesteście niezdolne do zachowania tajemnic państwowych. (Nadieżda Osipowna wydobywa zza gorsu kopertę i podaje ją Siergiejowi Lwociczowi. Zapuszcza zastony. Siergiej Lwocicz ostrożnie odłamuje lakową pieczęć na kopercie i otwiera list). Gdzie Aleksander?

Nadieżda Osipowna — Strzela z pistoletu. W ścianę szopy. Narysował kredą jakąś potworną gębę i strzela do niej. Kula za kulą.

Nadieżda Osipowna — Co to był za list dzisiaj, ten opeczowany? Od kogo?

Siergiej Lwocicz (nakrywa dłonią, to co napisał, mówi półgłosem). — Od gubernatora, hrabiego Paulucci. Ząda ode mnie pisemnych informacji dotyczących korespondencji i zachowania się Aleksandra. A my teraz mu to pošlemy! Podamy! (nuci po francusku). Nic szczególnie nagannego, ale jednak nieco zbyt swobodnie. Aleksandrowi to zupełnie nie zaszkodzi, a ja w oczach cesarza wypełnię swój obowiązek.

Nadieżda Osipowna — Uważaj tylko, żebyś nie przesolił. Zawsze się tak zapalasz...

Siergiej Lwocicz (znowu coś przepisuje z listu). Trzeba przygotować świecę do roztopienia laku, żeby na nowo zapieczętować kopertę.

Nadieżda Osipowna — Ariszo! Przynieś panu świeczkę!

Arina Rodionowna (wnosi świeczkę) — Deszczycz kropi. Wiatr. A Aleksander Siergiejewicz nie wraca do domu. Wołałam go już, wzywałam. (Nikt jej nie odpowiada. Siergiej Lwocicz szybko pisze). Nie śpi, miejsca sobie znaleźć nie może...

Nadieżda Osipowna — No, no, sama to wszystko sobie wymyśliła! (Arina Rodionowna odchodzi). Zadzwiwiąj jest ten zapal Aleksandra wobec chłopów. Jak rano wstanie, to przede wszystkim biegnie do Ariny, wita się z nią. A ja i ty jesteśmy dla niego dopiero na drugim planie.

Siergiej Lwocicz — Właśnie, właśnie! (Nadsłuchuje. Słychać śmiech Puszkina). Idź!



(Chowa list do koperty, zaczyna rozpalac lak nad świecą. Gorący lak kapie na list. List się zapala. Siergiej Lwocicz gasi ogień, przyciskając list grubą książką).

Nadieżda Osipowna — Boże, jaki ty jednak jesteś niegrabny!

(Wchodzi Puszkina. Twarz ma ogorzałą od wiatru. Widać, że jest podniecony jesiennym chłodem i diugotwałym strzelaniem z pistoletu).

Siergiej Lwocicz — Cóż to — wchodzisz bez pukania?

Puszkina — Przepraszam, ojcze! Chciałem prosić o kroniki Karamzina. Są mi potrzebne do pracy.

Siergiej Lwocicz — Czybyś chciał pisać coś z historii? Tragedię może?

Puszkina — Może. Jak tu czuć lakiem!

Nadieżda Osipowna — To dym z pieca.

Siergiej Lwocicz — Czy ty jesteś w stanie napisać tragedię? Tragedia, komedia, tararamedia... Tak! Więc zaczynasz pisać... Wy, młodzi zawsze tak... cichoem...

Puszkina (uśmiechając się) — Jakoś dam sobie radę. Czy mogę wziąć Karamzina?

Siergiej Lwocicz — Sam go szukałem. I nigdzie nie ma. Pewnie Lowa wziął.

Puszkina — Przecież tu jest, u ojca pod ręką. Pozwól ojczu. (Bierze gruby tom ze stołu. Siergiej Lwocicz stara się przykryć list ręką, ale Puszkina to spostrzega i bierze list).

Puszkina — To do mnie. Kto otworzył ten list?

Siergiej Lwocicz (wydaje okrzyk, osuwają się w fotelu) — O... o... o... (chwytają się za serce). Znów mnie złapało! Boże, Nadziu! (przewraca oczyma) Serce ścisła... (Głośno jęczy).

Nadieżda Osipowna — Gdzie sole trzeźwice? (Do Puszkina). Podaj. Są tam, na toalecie!

(Puszkina uważnie przypatruje się Siergiejowi Lwociczowi i nie rusza się z miejsca. Nadieżda Osipowna chwytając flakon z solami i daje je powąchać Siergiejowi Lwociczowi).

Puszkina — I po cóż to? Ja przecież wiem o wszystkim.

Siergiej Lwocicz (nieoczekiwanie prostuje się w fotelu, krzyczy cienkim głosem, po jego twarzy spływają łzy). — Nie waż się tak mówić do ojca! Każę cię związać! Atelst! Uczył się po cichu bezbożności twojego brata. I gorszyz siostrę zbrodniczymi ideami. Buntownik! (Wznosi ku niebu ręce) I to mnie posłałeś, Panie, takiego syna! Za co? (Do Puszkina) Jesteś bez serca! Chcesz zgubić nas wszystkich! Przecież nie pojedziemy na Sybir z twojej łaski!

Puszkina (widać się hamuje) — Ojcze, nie zmuszaj mnie, bym powiedział to, czego nie przystoi słuchać ojcu i staremu człowiekowi.

Siergiej Lwocicz (z udanym śmiechem) No proszę, proszę, jestem już starym! Ruin! Ale ja przecież, mój łaskawco, jestem młodszy od ciebie. Duchem. W mnie kipi jeszcze krew wieku oświecenia, czasów Katarzyny. A ty kim jesteś? Atelsta! Kpiarz!

Puszkina — Nie będziemy się kłócić! Proszę cię, ojcze, żebyś mnie wysłuchał (Chodzi po pokoju).

Nadieżda Osipowna — Aleksandrze! Przestań chodzić! W oczach mi się ci! Boże, cóż to za maniera? I skąd?

Puszkina (zatrzymuje się) — Mieszkam tu już od trzech miesięcy. I chcę ci przed-

stawić moje i twoje położenie w tym świecie, w jakim ono jest. Jeśli ty sam tego nie widzisz. (Siergiej Lwocicz wyczerpany osuwa się w fotel. Nadieżda Osipowna rozciera mu skronie perfumami). W Odessie byłem w niesłychanie trudnych warunkach. Ty, ojcze, nie chciałeś mi pomóc. Dlaczego? Bo lękałeś się schłapania na siebie podejrzenia, że pomagasz człowiekowi, który popadł w nielaskę u cara.

Siergiej Lwocicz — Nie śmieję dotykać cara. To boży wybraniec (Zegna się znakiem krzyża).

Puszkina — Dobrze. Zostawmy cara w spokoju. Byłem zesłany na południe, a potem tu, do twojej posiadłości. Zesłano mnie za przywiązanie do tego, co stanowi szczęście ludu. Ale cóż to może obchodzić ciebie, ojcze! Ciebie, niezaradnego gospodarza godnych chłopów, właściciela tych jałowych pól i tych wsi, gdzie wszystkie siomiane strzechy są zdarte na paszę dla bydła. Potworność! Chłopi gną grzbiety i gniją w łajnie, żebyś ty mógł wdzięczyc się wśród petersburskich piękności i perfumować się tymi pałacowymi perfumami.

Siergiej Lwocicz — Nadziu! Co on mówi! O mnie!

Puszkina (z goryczą) — Ach, nie tylko o tobie, ojcze.

Siergiej Lwocicz — Więc o kim?

Puszkina — Nienawidzę tego próżniaczego jasnego państwa. Kto wam dał prawo na to, by rozporządzać losem uczciwych ludzi, zabierać im owoce ich pracy?

Siergiej Lwocicz — Patrzcie no — chłopski aposto!

Puszkina — A przecież wszystko jest dziełem ich rąk. A ty, ojcze? Coś ty zrobił w swoim życiu? y i tobie podobni?

Nadieżda Osipowna (do Puszkina) — Nie krzycz tak! Ludzie mogą usłyszeć!

Puszkina — Od kiedy to zaczęliście się liczyć z opinią służby? Tak... Ale ja nie o tym mówię! Nie o tym! Nie o to chodź!

Siergiej Lwocicz — Aha! Przyznał się! Więc o co chodzi?

Puszkina (zatrzymuje się przed nim) — O to, że ty, mój ojczu, dobrowolnie wzięłaś na siebie obowiązek szpiegowania własnego syna! O to, że nie brzydzisz się otwierac mojej korespondencji i zawiadaniać o niej wiaźde! O to, że nie rozumiesz, jak wielką jest twoja lekomyślność. (Zbliża się do Siergieja Lwocicza, uderza dłoń w stół). Będę prosił cesarza, żeby kazał mnie zamknąć w jednej z twierdz. Zycie tam będzie miało więcej godności niż tutaj.

Siergiej Lwocicz (wstaje) — Stój! Jestem twoim ojcem! Ja odpowiadam za ciebie wobec Najwyższego.

Puszkina (nieoczekiwanie wybucha śmiechem) — Dosyć! Cóż ci przyszło do głowy, ojcze! Przed nikim nie jesteś za mnie odpowiedzialny. Ani przed Bogiem, ani przed diabłem!

(Siergiej Lwocicz macha rękami, jakby odpedzał od siebie straszną zjawę. Nadieżda Osipowna pada na kolana przed ikoną, w rozpaczy zaciska dionie).

Siergiej Lwocicz (ochryple) — Ludzie! Do mnie! (Trzęsącą się ręką usiłuje sięgnąć po dzwonek. Puszkina odbiera ma dzwonek i stawia na stole). Ludzie! (Nadieżda Osipowna zrywa się z kłęczek, przytrzymuje go) Na pomoc!

(Pośpiesznie wchodzi Arina Rodionowna, za nią Kuźma).

Puszkina — Czego chcesz, ojcze? Nowych dowodów przeciwko mnie. Chcesz mnie ostęcznie zgubić (do Kuźmy). Kuźma, moją drogą, powiedz, żeby mi osiadano Deresza.

Kuźma — Już dawno powinien pan to zrobić...

Puszkina — Jak to — dawno?

Kuźma — Nie... nie... Sam osiadłem Deresza. (Wychodzi).

Arina Rodionowna (bierze Puszkina za rękę) — Saszeńka! Nie gniewaj się na ojca! Mój ty najmilszy! Chodź, pojedziemy (stara się wyprowadzić Puszkina) Chodźmy, Saszeńka!

Puszkina (łagodnie odpycha nianię odwraca się w progu) — Powiedziałem ci wszystko ojcze. Pierwszy i ostatni raz. Zegnajcie. (Wychodzi z nianią).

Siergiej Lwocicz (biegnie za nim, otwiera gwałtownym ruchem drzwi do przedpokoju, rwie na sobie szlafrok, krzyczy) — Jak ty śmiał! Ludzie! On mnie uderzył!

Nadieżda Osipowna — Zamilcz! Zamilcz! Natychmiast.

Siergiej Lwocicz (placze, wygraża pulchnymi piastkami) — Podniósł rękę na rodzinnego ojca! (W przedpokoju widać przestraszone dziewczyny dworskie, służbę) Wyrodku Hannibalów!

Nadieżda Osipowna — Ach tak! (do służby) Procz! do czeladnej! Po co tu sterczycie! (Służba wychodzi pośpiesznie. Do Siergieja Lwocicza). Przestań stroić z siebie pajaka! Ty figlarzu!

Siergiej Lwocicz — I ty w jego obronie! O Boże! Chciał mnie uderzyć, a ty milczysz!

Nadieżda Osipowna — Nie kłam!

Siergiej Lwocicz — Wymachiwał tu rękami, jak obłąkany. I to wobec rodzinnego ojca. Zabił mnie swoimi słowami. (Placze).

Nadieżda Osipowna (rzuca mu chustkę). Masz! Otrzyj oczy!

(Za oknem słychać wściekły tupot kopyt. Nadieżda Osipowna biegnie do okna).

Nadieżda Osipowna — Odejechał! Do Trigorzka. Do tych swoich pocieszycielek i wielbićców. Do Osipowów. (Osuwają się w fotel) Boże! Teraz już do nas nie wróci! Nigdy!

Siergiej Lwocicz (wpada nagle w złość, tupie nogami) — Jedziemy do Petersburga! Natychmiast pakować rzeczy! I zaprzęgać konie! Noga moja nie postoi w tym domu. Niech tu gnije sam. Jak pies. Nie jest już moim synem.

Nadieżda Osipowna — Mój Boże, jaki z ciebie nędzny człowiek.

Konstanty Paustowski

\*) Fragment dramatu o Puszkinie.

M. BULHAKOW

Przełożył ALEKSANDER BACHRACH

# Przed pojedynkiem\*)

Akt II

ODSŁONA CZWARTA

Mrok. Z mroku poprzez zielone zastony wylaniają się świece. Noc. Gabinet służbowy. Przy biurku siedzi Leontij Wasiliewicz Dubelt. Drzwi gabinetu uchylają się i ukazuje się w nich rotmistrz żandarmerii Rakiejew.

Rakiejew: Wasza Ekscelencjo, Bitkow.  
Dubelt: Wpuścić. (Rakiejew znikła i wchodzi Bitkow).

Bitkow: Najniższy sługa Ekscelencji!  
Dubelt: A, moje uszanowanie, Bitkow. Jak zdrowie, przyjacielu?  
Bitkow: Modlitwom Waszej Ekscelencji je zawdzięczam.

Dubelt: No, przypuszczam... Na myśl mi nawet nie przyszło modlić się za ciebie. Aleś zdrow? No, to czegoś dowiedzia się w nocy?

Bitkow: W trosce najgłębszej, jaka...  
Dubelt: Twoje troski niepotrzebne są Jego Cesarskiej Mości. To co nakazało? Poutną obserwację, którą też masz jak najlepiej wykonywać. I mówić także nie potrzeba tak gornolotnie, jak na ambonie.

Bitkow: Sługa najniższy... Czynieć tajną obserwację kamerjunktora Puszkina, piznikiem od samego jego domu...  
Dubelt: Widział kto, jaki spryciarz! A skóry ci nie wylotli!

Bitkow: Pan Bóg miał litość.  
Dubelt: A jak się nazywa jego kamerdyner, Frol czy jak tam?

Bitkow: Nikita, Ekscelencjo.  
Dubelt: Osiół Nikita. No i dalej?

Bitkow: Pierwszy pokój w mieszkaniu to stowory...  
Dubelt: To mi niepotrzebne.

Bitkow: A drugi — salon. W salonie na fortepianie leżą utwory pana kamerjunktora.  
Dubelt: Na fortepianie? Jakież to utwory?

Bitkow: „Burza mgłami niebo kryje, wichrów śnieżnych kłęby gna, to jak dziki zwierzę zawyje, to jak małe dziecko lka. To że strzycy nam słomiane wyrwie z szumem kępy mchów...“  
Dubelt: Ho, ho. Ale pamięć to ty masz zdrową! No, dalej.

Bitkow: „...to jak pielgrzym zabłąkany w okieneczku...“  
Dubelt: Nie, durniu! Coś dalej widział?

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

stko, Wasza Ekscelencjo, nie ma takiego w St. Petersburgu.  
Dubelt: Trzeba aby do jutra był taki. Wasilij Maksimowicz: Sam wprost nie mogę zrozumieć, Ekscelencjo, ale nie ma...  
Dubelt: Cóż to za cuda? Anglik w Petersburgu zapadł się pod ziemię?  
Rakiejew (wchodzi): Ekscelencjo, Iwan Warfolomiejewicz Bogomazow w tej samej sprawie.  
Dubelt: Prosić.  
(Rakiejew wychodzi, wchodzi Bogomazow).

Bitkow: Co to 30 rubli, Ekscelencjo? Mało... Dzieciaki mam...  
Dubelt: Widzisz kochany przyjacielu, Judaszowi z Kariotu archidjereje przyrzekli srebrniki, a srebrników tych było 30. Ot i na pamiątkę tego, wszystkim tak płacę.

Bitkow: Ekscelencjo da chociaż z 35...  
Dubelt: Nie, to kwota dla mnie zbyt poważna. No, idź już i poproś do mnie Iwana Warfolomiejewicza Bogomazowa. (Bitkow wychodzi, wchodzi Bogomazow).  
Bogomazow: Proszę zgadnąć, Ekscelencjo, co to za papier?

Dubelt: To grzech zgadywać... Kopia listu do Heeckerena.  
Bogomazow: Leontij Wasiliewicz, pan jest czarodziejem!  
Dubelt: Nie, to pan jest czarodziejem. Jakże się to panu tak znakomicie udało?

Bogomazow: Brulionik leżał w koszyku, niestety niepełny.  
Dubelt: Dziękuję panu, wystany?  
Bogomazow: Jutro kamerdyner ma odnieść.

Dubelt: Cóż jeszcze, Iwanie Warfolomiejewiczu?  
Bogomazow: Byłem na literackim śniadaniu u Saltykowa.  
Dubelt: A co mówi ten stary igrz?

Bogomazow: Straszne po prostu! Cesarza nazywa le grand bourgeois... (Wymruje papier). Właśnie tam Doigorukow dał mi przepis.

Dubelt: Banca... koślawy?  
Bogomazow: Tak, on.  
Dubelt: Tak, co jeszcze, Iwanie Warfolomiejewiczu?

Bogomazow: Bal u Woroncowych. (Wręcza papier).  
Dubelt: Dziękuję panu.

Bogomazow: Leontij Wasiliewicz trzeba będzie zwrócić uwagę i na kulawego Pietrka. Miele ozorem, że po prostu trudno wytrzymać, wszystkich nazywa sługusami, fagasami... Przydałoby się i drugą nogę mu polamać. Powiada, że ponadzi od świętego męczennika...  
Dubelt: Przyjdź kole i na męczenników.

Bogomazow: Mam honor złożyć ukłon Waszej Ekscelencji.  
Dubelt: Oddaje nam pan ogromne usługi, Iwanie Warfolomiejewiczu, będę miał przyjemność zameldować o tym hrabiemu.

Bogomazow: Jestem głęboko wzruszony, Leontij Wasiliewicz. Spełniam swój obowiązek.  
Dubelt: Rozumiem... rozumiem... A pieniądze nie potrzeba panu?

Bogomazow: No, że dwieście rubelków nie zaszkodziłoby.  
Dubelt: Wypiszę panu 300 — dla równego rachunku — 30 czerwonych. Proszę powiedzieć Wasilijowi Maksimowiczowi. (Bogomazow kłania się i wychodzi).  
Dubelt: Pozostaje sam. Czyta papiery przyniesione przez Bogomazowa. „Burza mgłami niebo kryje... wichrów śnieżnych kłęby gna...“

(Z ulicy dochodzą jakieś odgłosy. Dubelt patrzy w okno. Poprawia epolety. Otwierają się drzwi. Wchodzi żandarm Ponomariow, a za nim ukazują się w drzwiach Mikołaj i w szyneli i kasku kirasjerskim. Za Mikołajem — Benkenendorf).

Mikołaj: Witaj, Leontij Wasiliewicz.  
Dubelt: Zdrowia życzę Waszej Cesarskiej Mości. W sztabie korpusu żandarmerii wszystko w należytym porządku.

Mikołaj: Przejeżdżałem z hrabią i widzę światło u ciebie. Pracujesz jeszcze? Nie przeskadzam ci?  
Dubelt: Ponomariow? Szynel!  
(Ponomariow przyjmuje szynel Mikołaja i Benkenendorfa. Wychodzi).

Bitkow: Ach, co za głupiec ze mnie! Łaski proszę, Ekscelencjo.  
Dubelt: Cały oddział wyprowadził z równowagi. Morde trza by ci zbić, Bitkow! Dalej!

Bitkow: Dzisiaj wieczorem zaś znalazł się na stole list zaadresowany do cudzoziemca.  
Dubelt: Znowu cudzoziemiec.

Bitkow: Do cudzoziemca, Ekscelencjo, jak Bóg na niebie, do pana barona Heeckerena, do holenderskiego poselstwa, Niewskiej Prospekt.

Dubelt: Bitkow (wyciąga rękę), gdzie ten list, masz mi go tu zaraz dostarczyć na pół godziny.

Bitkow: Ekscelencjo, jak to: list? Niech Ekscelencja sam rozsądzi, wpadnieś na chwilę do gabinetu, ręce ci się trzęsą. A przecież przyjdzie i będzie go szukał, przecie to ryzyko...  
Dubelt: A kiedy pensje bierzecie, to żadnemu z was — psikrew — ręce się nie trzęsą... Dowiedz się dokładnie, kiedy i przez kogo list będzie wysłany, kto go przyjmie w poselstwie i kto zaniesie odpowiedź. No, zamiataj!

Bitkow: Tak jest. Słucham, Ekscelencjo, ekscelencja raczy mi pensję wypłacić.  
Dubelt: Pensję? Sam powinienś dopłacić jeszcze do tego Dżuka. Idź do Wasilija Maksimowicza i powiedz, że kazałem wypisać ci 30 rubli.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Co to 30 rubli, Ekscelencjo? Mało... Dzieciaki mam...  
Dubelt: Widzisz kochany przyjacielu, Judaszowi z Kariotu archidjereje przyrzekli srebrniki, a srebrników tych było 30. Ot i na pamiątkę tego, wszystkim tak płacę.

Bitkow: Ekscelencja da chociaż z 35...  
Dubelt: Nie, to kwota dla mnie zbyt poważna. No, idź już i poproś do mnie Iwana Warfolomiejewicza Bogomazowa. (Bitkow wychodzi, wchodzi Bogomazow).  
Bogomazow: Proszę zgadnąć, Ekscelencjo, co to za papier?

Dubelt: To grzech zgadywać... Kopia listu do Heeckerena.  
Bogomazow: Leontij Wasiliewicz, pan jest czarodziejem!  
Dubelt: Nie, to pan jest czarodziejem. Jakże się to panu tak znakomicie udało?

Bogomazow: Brulionik leżał w koszyku, niestety niepełny.  
Dubelt: Dziękuję panu, wystany?  
Bogomazow: Jutro kamerdyner ma odnieść.

Dubelt: Cóż jeszcze, Iwanie Warfolomiejewiczu?  
Bogomazow: Byłem na literackim śniadaniu u Saltykowa.  
Dubelt: A co mówi ten stary igrz?

Bogomazow: Straszne po prostu! Cesarza nazywa le grand bourgeois... (Wymruje papier). Właśnie tam Doigorukow dał mi przepis.

Dubelt: Banca... koślawy?  
Bogomazow: Tak, on.  
Dubelt: Tak, co jeszcze, Iwanie Warfolomiejewiczu?

Bogomazow: Bal u Woroncowych. (Wręcza papier).  
Dubelt: Dziękuję panu.

Bogomazow: Leontij Wasiliewicz trzeba będzie zwrócić uwagę i na kulawego Pietrka. Miele ozorem, że po prostu trudno wytrzymać, wszystkich nazywa sługusami, fagasami... Przydałoby się i drugą nogę mu polamać. Powiada, że ponadzi od świętego męczennika...  
Dubelt: Przyjdź kole i na męczenników.

Bogomazow: Mam honor złożyć ukłon Waszej Ekscelencji.  
Dubelt: Oddaje nam pan ogromne usługi, Iwanie Warfolomiejewiczu, będę miał przyjemność zameldować o tym hrabiemu.

Bogomazow: Jestem głęboko wzruszony, Leontij Wasiliewicz. Spełniam swój obowiązek.  
Dubelt: Rozumiem... rozumiem... A pieniądze nie potrzeba panu?

Bogomazow: No, że dwieście rubelków nie zaszkodziłoby.  
Dubelt: Wypiszę panu 300 — dla równego rachunku — 30 czerwonych. Proszę powiedzieć Wasilijowi Maksimowiczowi. (Bogomazow kłania się i wychodzi).  
Dubelt: Pozostaje sam. Czyta papiery przyniesione przez Bogomazowa. „Burza mgłami niebo kryje... wichrów śnieżnych kłęby gna...“

(Z ulicy dochodzą jakieś odgłosy. Dubelt patrzy w okno. Poprawia epolety. Otwierają się drzwi. Wchodzi żandarm Ponomariow, a za nim ukazują się w drzwiach Mikołaj i w szyneli i kasku kirasjerskim. Za Mikołajem — Benkenendorf).

Mikołaj: Witaj, Leontij Wasiliewicz.  
Dubelt: Zdrowia życzę Waszej Cesarskiej Mości. W sztabie korpusu żandarmerii wszystko w należytym porządku.

Mikołaj: Przejeżdżałem z hrabią i widzę światło u ciebie. Pracujesz jeszcze? Nie przeskadzam ci?  
Dubelt: Ponomariow? Szynel!  
(Ponomariow przyjmuje szynel Mikołaja i Benkenendorfa. Wychodzi).

Bitkow: Ach, co za głupiec ze mnie! Łaski proszę, Ekscelencjo.  
Dubelt: Cały oddział wyprowadził z równowagi. Morde trza by ci zbić, Bitkow! Dalej!

Bitkow: Dzisiaj wieczorem zaś znalazł się na stole list zaadresowany do cudzoziemca.  
Dubelt: Znowu cudzoziemiec.

Bitkow: Do cudzoziemca, Ekscelencjo, jak Bóg na niebie, do pana barona Heeckerena, do holenderskiego poselstwa, Niewskiej Prospekt.

Dubelt: Bitkow (wyciąga rękę), gdzie ten list, masz mi go tu zaraz dostarczyć na pół godziny.

Bitkow: Ekscelencjo, jak to: list? Niech Ekscelencja sam rozsądzi, wpadnieś na chwilę do gabinetu, ręce ci się trzęsą. A przecież przyjdzie i będzie go szukał, przecie to ryzyko...  
Dubelt: A kiedy pensje bierzecie, to żadnemu z was — psikrew — ręce się nie trzęsą... Dowiedz się dokładnie, kiedy i przez kogo list będzie wysłany, kto go przyjmie w poselstwie i kto zaniesie odpowiedź. No, zamiataj!

Bitkow: Tak jest. Słucham, Ekscelencjo, ekscelencja raczy mi pensję wypłacić.  
Dubelt: Pensję? Sam powinienś dopłacić jeszcze do tego Dżuka. Idź do Wasilija Maksimowicza i powiedz, że kazałem wypisać ci 30 rubli.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Bitkow: Ach, nie pojąłem, łaski proszę. Dwakroć niewymownie narażając się zakradłem się do gabinetu, w którym to gabinecie znajdowało się pełno książek.  
Dubelt: Jakże książki?

Bitkow: Com zdążył, tom i zapamiętał, Ekscelencjo. Po lewej ręce od kominka — Sowa — ptak nocny, Kawalerzysta — dziewczica, Historia sławnego złodziejstwa Wańki-Kaina i... O opilstwie okresowym i o leczeniu fakowego — na pożytek każdemu... w typografii uniwersyteckiej...  
Dubelt: Te ostatnią książkę polecam ci. Pisz?

Bitkow: Boże zachowaj, do ust nie biorę.  
Dubelt: No, to zostawmy książki. Dalej!

Bitkow: Dzisiaj znalazłem na podłodze wielkiej wazoni kartki: natychmiast przyjeżdżaj do mnie, inaczej będzie źle. Podpis William Dżuk.  
Dubelt: (dzwoni, wchodzi Rakiejew). Wasilija Maksimowicz do mnie. (Rakiejew wychodzi. Wchodzi Wasilij Maksimowicz w cywilnym ubraniu). William Dżuk?

Wasilij Maksimowicz: Przecoraliśmy wszyscy...  
\*) Fragment dramatu pt. „Aleksander Puszkina“.

Mikołaj (siadając): Siadaj, hrabio, siadaj, generale.  
Dubelt: Słucham, Najjaśniejszy Panie.  
Mikołaj: Nad czym pracujesz?

Dubelt: Czytam wiersze. Zamierzałem właśnie referować Jego Ekscelencji hrabiemu Benkenendorfovi...  
Mikołaj: To referuj, referuj, ja nie będę przeskadzał. (Bierze jakąś książkę i przegląda ją).  
Dubelt: Otóż, Ekscelencjo, próżniacy rozpowszechniają, przepisywany wiersz Puszkina z powodu Brulionowskiego „Ukrzyżowania Chrystusa“. Wasza Ekscelencja przypomina sobie, że był łaskaw rozkazać, aby przy obrazie postawić wartę. Niestety w urzywkach tylko... (Czyta). „Dzisiaj pod krzyżem ducha w nas żywiącym

Jak przed pałacem świetnym wielkorządcy, Widać stojących groźnie z obu stron Dwóch wartowników zamiast świętych żon. Na co, powiedzcie, kaski, karabiny, straż? Czy Bóg na krzyżu jest rządowym inwentarzem? Złodziejów się boicie? Myszki?... Tu jest przerwa... „A może się boicie, że znieważy

tłuszcza, Tego, co śmiercią swoją grzechy nam odpuszcza, I przeto, by bezpieczniej było jaśnie panom, Ludowi pod Krzyż Pański chodzić zakazano...“

Dubelt: „Władza świecka“.  
Mikołaj: Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego z wyjątkiem dobra... Ach, ten Boga, ni miłości dla ojczyzny... Ach, ten Zukowski! Ciągłe staje w jego obronie... I jak on miele językiem... Rodziny mu szkoda, żony szkoda, dobra kobieta... Kontynuuj, Leontij Wasiliewicz...  
Dubelt: Oprócz tego, u studenta Andrieja Sitnikowa znalazłem przy rewizji krótki referat. Kopia podpisana nazwiskiem A. Puszkina.  
Benkenendorf: Proszę, niech pan czyta.  
Dubelt: Ośmielam się zameldować Waszej Ekscelencji, że to wiersz bardzo nieprzyzwyczajony.

Mikołaj (przerzucając stronicę książki): Przeczytaj.  
(Dubelt czyta).  
Rosja — bez praw rządzona Jest słup... A na słupie korona.  
Mikołaj: To jego?  
Dubelt: Na kopii jest napis: A. Puszkina.  
Benkenendorf: Szczególnie ciekawe jest to, że ktokolwiek by napisał podobne bezczelstwa — zawsze przypiszą je przeciw panu Puszkiniowi! Taka to już persona.

\*) Z przekładu Juliana Tuwima.  
Mikołaj: Masz rację hrabio. (Do Dubelta). Niech pan przeprowadzi śledztwo.

Benkenendorf: Jest jeszcze coś ważnego?  
Dubelt: Tak jest, Ekscelencjo. Nie później niż pojutrze oczekuję w stolicy pojedynku.  
Benkenendorf: Między kim a kim?  
Dubelt: Między kamerjunktrem Dworu Jego Cesarskiej Mości Aleksandrem Siergiejewiczem Puszkinem, a porucznikiem gwardii baronem Jegorem Osipowiczem Heeckerenem — d'Anthesem. Mam w swym posiadaniu brulion obelżywego listu Puszkina do barona Heeckerena — ojca.  
Mikołaj: Przeczytaj go.  
Dubelt (czyta)... „jak stara rajfura czyhał pan na moją żonę, by jej opowiadać o miłości swego jedynaka z nieprawego łoża. A gdy pozostał on w domu z powodu swej dyskretnej choroby, mówił jej pan...“ przepuszczone... „nie życzy sobie, aby żona moja miała dalej słuchać pańskiego ojcowskiego stręczytelstwa...“ znowu przerwa... „syn pański ośmielił się rozm

JOANNA GUZE

# Z podróży po Wielkopolsce

Do Strzelna droga prowadzi przez Gniezno i Trzemeszno. Czasu było akurat tyle, aby wyskoczyć na chwilę z auta w Gnieźnie, rzucić okiem na najpiękniejszą, piasko rzeźbą pokrytą drzwi katedry i przyrzeczyć się robotom w barokowej bazylice Trzemesznej (gdzie odkryto 2 romańskie kolumny i założenie dawnego kościoła), robotom prowadzonym przez konserwatora Zdzisława Kępińskiego, tego samego, który



Strzelno: fragment rzeźby romańskiej

odkrył Strzelno. O Kępińskim krąży osobliwe legendy: że jeździł po Wielkopolsce z miotkiem w kieszeni, a może nawet świdrem; że prowadził łagodne i kojące rozmowy z proboszczami tamtejszych parafii, ostukując od niechcenia owym miotkiem, przesłuchując otynkowane ściany barokowych kościołów; że ledwo poczłwyc proboszcz się obrócił, ściana jest rozpruta i zdumionym oczom przygodnych widzów ukazują się romańska kolumna w całej swej urodzie — itp. Nie wiem, jak bardzo



Strzelno: wnętrze kościoła

tym legendom należy dawać wiarę, w każdym razie dziwne się tam dzieją rzeczy, jeśli od proboszcza ze Strzelna, proboszcza z Trzemesznej chytym sposobem (wszystko dla sprawy!) egzekwuje cegłę gotycką, niezbedną przy robotach w jego kościele; jeśli namierność do odkrywania dawnych i świetnych warstw architektonicznych spłynęła z konserwatorów na księży tak bardzo, że znacznie skrócił perspektywę historyczną, barok i klasycyzm owiem (nie mówiąc o fałszach stylowych XIX wieku, którymi proboszcz w Wielkopolsce wręcz gardzi) nie wydają się im stylami dość odległymi, aby można je było traktować równie poważnie, jak romańszczyznę i gotyk.

Strzelno, miasteczko skromne i niewielkie, posiada dwa godne uwagi kościoły: św. Prokopa, gdzie założone przez Niemców w czasie odwrotu wojsk ładunki dynamitowe, w znacznym stopniu uszkodziły piękną rotundę — i barokową bazylikę dawnego klasztoru norbertanek pod wezwaniem św. Trójcy, która żadnych poważniejszych uszkodzeń nie doznała. W tej bazylice właśnie dokonano w roku 1946 renowacyjnych odkryć.

Punktem wyjścia do rozpoczęcia robót była rekonstrukcja rysunkowa istniejącej tu niedługo bazyliki romańskiej (trójnawowej z transeptem), opracowana przez prof. Zachwatowicza. Owa rekonstrukcja, oraz inne hipotezy dotyczące nakładania się warstwy barokowej na pierwotną konstrukcję romańską, pozwoliły Kępińskiemu przyjść do wniosku, że pod obudowaniem filarów musiały się zachować romańskie kolumny. Hipotezy były słuszne; po rozpruconiu filarów ukazały się cztery kolumny z piaskowca, z których pierwsza para pokryta jest całkowicie rzeźbą figuralną — zjawisko niespotykane w stylu romańskim, zazwyczaj bowiem kolumny mają rzeźbione tylko kapitele. W drugiej parze (wspomniane cztery kolumny podtrzymały ongi sklepienie trójnawowego kościoła) jedna z kolumn jest spiralnie skreconą, druga gładką, lecz polichromowaną. Wszystkie w dobrym stanie.

Jak już wspominałem, kolumna romańska całkowicie pokryta rzeźbą jest zjawiskiem jedynym i niespotykanym nigdzie w Europie, świadczącym, że musiał tu kiedyś istnieć żywy i samodzielny ośrodek artystyczny. Jeśli podkreślić jeszcze świętość wykonania i bogactwo form, dowodzące, że autorem lub autorami rzeźb byli najwyższej próby artyści, znaczenie odkrycia w Strzelnie ukaże się w całej dołności, uzupełniając w sposób bardzo istotny nasze wiadomości o okresie kultury romańskiej w Polsce.

Rzeźby figuralne umieszczone są w trzech kondygnacjach, w niszach arkadowych umieszczonych na trzonach kolumn; figury świetnie modelowane, szlachetne w rysunku, pełne są owej wznoszącej prostoty, która pozostała tajemnicą artystów romańskich, autorów dzieł głęboko ludzkich.

\*

Muzeum w Rogalinie jest zagadnieniem zupełnie innego rzędu, zarówno czasem, jak problematyką najbardziej odległym od spraw strzelnieńskich.

Rogalin był ongi posiadłością Arciszewskich; potem przeszedł w ręce Raczyńskich, którzy z końcem XVIII wieku wzniesli tu pałac zaprojektowany przez Włocha Merliniego. Przed pałacem rozciąga się francuski ogród; w głębi — aby obu modnym konwencjom organizowania przyrody stało się zadość — angielski park, gdzie wciąż trwają tysiącletnie rogalińskie dęby.

W tym pałacu stworzono muzeum — oddział Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu. Pałac wyszedł obronną ręką z niebezpieczeństw wojny (pominąwszy barbarzyńskie zniekształcenia architektury wnętrza, dzieło Niemców, który hodował tu swoją Hitlerjugend; dziś całość przywrócona jest do dawnego stanu), lecz całkowicie opustoszały, meble bowiem i wszystkie cenne przedmioty zostały przez okupantów wywiezione. Organizatorzy muzeum nie mieli najmniejszego kłopotu z selekcją obiektów: sale zastali puste.

Muzeum rogalińskie, którego otwarcie nastąpiło niedawno, bo 22 lipca 1949 roku, posiada jedną z najładniejszych i najkonsekwentniej pomyślanych ekspozycji, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć. Wszystko zostało wykonane ściśle wedle planu; nie ma więc mowy o przypadkowym nagromadzeniu cennych przedmiotów, które pokazuje się dlatego, że warto je zostawić w lamusie. Wnętrza zostały podzielone na ekspozycje dwóch działów: Rzemiosła Artystycznego i Dokumentów Myśli Postępowej (pałac) oraz Kultury i Sztuki Ludowej w Wielkopolsce (dawna galeria malarstwa). Oglądając je, widzę nie tylko doznaje przyjemności estetycznej (sala bowiem urządzona z wielkim smakiem i wdziękiem), ale się uczy, uczy historii Polski wplecionej w bieg dzieł ogólnoeuropejskich i światowych, poznaje obyczajowość i styl życia minionych epok, śledzi za rozwojem myśli, która historię naprzód popycha, myśli twórczej i postępowej. Oto muzeum jakiegoś bardzo w tej chwili trzeba.

Salą centralną działu pierwszego jest „Sala Krzysztofa Arciszewskiego i Spraw Morskich XVII wieku”. Szychowane, barwne mapy z epoki, modele okrętów, meble, księgi, dokumenty, przedmioty codziennego użytku, pamiątki, (wszystko opatrzone w przejrzyste objaśniające podpisy) mówią o historycznych związkach Rzeczypospolitej z morzem i o najświetniejszym przedstawicielu epoki, Krzysztofie Arciszewskim, aryaninie, admirałe floty holenderskiej, awanturniku w wielkim stylu i obłączy, którego sława obiegła oba kontynenty. Inne sale zaplanowane są również programowo. Sala Zabytków Rokokowych i Mieszkaństwa XVIII w. Oświecenia, Polskich Zabytków i Reform Społecznych XVIII w., Zabytków Emplirycznych i Wielkiej Rewolucji, J. Lelewela i Demokracji Polskiej poł. XIX w., „Włosny Ludów” i Rewolucji 1848 r. i t. d. Meble, tkaniny, srebra, por-

trety, przeplatane są książkami i dokumentami pisanymi, które uzupełniają wystawione obiekty, wyjaśniając zarazem ich sens i znaczenie: w ten sposób powstaje jednolita stylowo i ideologicznie całość.

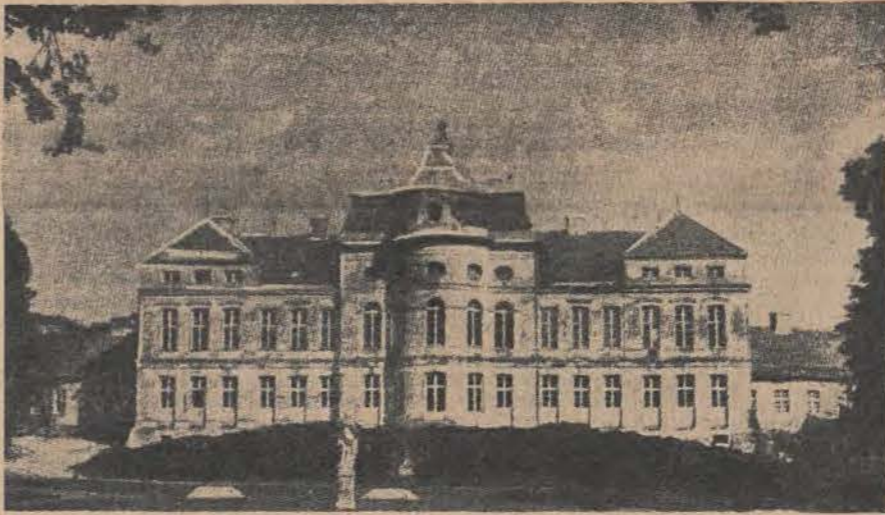
Drugi dział — Kultury i Sztuki Ludowej w Wielkopolsce — ukazuje ten problem od strony rozwoju narzędzi produkcji i ich wpływu na rozwój kultury regionalnej (Sala Budownictwa Wiejskiego, Przemysłów Podstawowych, Przetwórstwa, Gospodarstwa Domowego i wreszcie Sztuki i Zdobnictwa). Ekspozycja staranna i bardzo pouczająca.



Strzelno: fragment rzeźby romańskiej

Warto by umożliwić zwiedzenie muzeum w Rogalinie nie tylko mieszkańcom Poznania. Będzie to tym łatwiejsze, że dyrekcja pomyślała o zorganizowaniu kwater obliczonych na spór ilość przyjezdnych. W pierwszym rzędzie należałoby pomyśleć o uczniach wyższych klas szkół średnich i studentach wydziałów humanistycznych, dla których zwiedzenie muzeum będzie prawdziwie pożyteczne.

Joanna Guze



Pałac w Rogalinie, obecnie muzeum im. Krzysztofa Arciszewskiego

mieszkania. Wychodząc ostrzegł: nie ruszaj się stąd, dopóki ci nie dam znać.

\*

Wracał do domu o północy. Miał teraz wyjątkowo dużo roboty. Gestapo zaalarmowało Radę Starszych w sposób gwałtowny, zwracając uwagę, że nie ścierpi, aby getto było siedliskiem komunizmu. „Eine wahre Seuche!” Nakazali, aby im Rada dostarczyła listę osób podejrzanych. Szuster zaś domagał się, aby mu wydano miarę. Wdarł się do mojej izby, kontrolował wchodzących i wychodzących z warsztatu, ale bez skutku. Chciał wyrwać presję na moją rodzinę — już jej nie miałem. W Radzie Starszych podali mi dokładną datę „wyjazdu” mojej rodziny „na roboty nach Osten”.

Wówczas Szuster wezwał do siebie inżyniera F. Mówił z nim, jak z dawnym znajomym, i mimochodem zapytał o mnie, czy nie wie, jak mi się wieszcie, może mógłby w czymkolwiek pomóc, mógłby na przykład wpłynąć na kierownictwo warsztatu, aby mi dali lepszą pracę, bo jak mi wiadomo, pracuję czy pracowałem w warsztatach krawieckich.

Inżynier nie mógł mi udzielić żadnych informacji. Nie było co ukrywać i powiedział mi wręcz: przecież pan wie, panie Szuster, że on był komunistą i że się żyliśmy z sobą.

— Wie pan — dodał uśmiechając się — nawet tu dokuczał mi, wypominał mi, że jestem milicjantem, i kiedyś, gdy pracowałem jeszcze jako dozorca u krawców, powiedział w obecności wielu ludzi: „dochrapałeś się, marzyło ci się zdobycie Uralu a teraz rewidujesz robotników, czy nie wynoszą szpulki z niemi”. Wbrew oczekiwaniom Szuster nachmurzył się: na pomnikienie o Uralu ocenili jako przytyk. Niemców gnano już daleko, daleko od Moskwy i Leningradu. Od Szustera F. dowiedział się, że roboty wywrotowa przeciwko Rzeszy nie opłaca się. Ta komórka, którą niedawno wykrył, nie zdołała rozwinąć żadnej działalności, a zresztą, już ich nie ma — uniosł dłoń i rozstawiwszy szeroko palce, dodał: — płócioro ich było, już są w Oświęcimiu.

Nie pytałem inżyniera F., czy mogę jeszcze zostawać u niego, nie miałem dokąd pójść, a o ukrywaniu się w getcie mowy być nie mogło. Chciałem się dowiedzieć, co się stało z ostatnim naszym towarzyszem, fotografem I. H., i zapytałem inżyniera, co by sądził o sporządzeniu fałszy-

wego dokumentu, bo zdjęcie mógłby chyba zrobić ten fotograf ze „Studia”.

— Zdjęcie to głupek, tego H. można by tu poprosić, to zdaje się przyzwolony człowiek, ale skąd wziąć dokumenty?

Czy znów pomyślał o Wawrzyńcu, który mógł mu ułatwić ucieczkę?

— Siedź spokojnie u mnie, już coś znajdziemy.

Wiedziałem więc ponad wszelką wątpliwość, że żaden z aresztowanych nie sypał. Szuster szukał mnie, ponieważ wiedział, że znałem Wawrzyńca, o fotografii nie nie wiedział.

Wiem, że moja relacja jest skąpa i sucha, ale skoro mówię wam, że zarówno to dziecko Róża, jak również żaden spośród aresztowanych nie powiedział ani słowa, to potraficie chyba sami ocenić, ile hartu ducha, ile odwagi i dumy posiadali ci ludzie, jeżeli nie ulegli mece i katuszom.

Jak długo mogłem siedzieć w mieszkaniu inżyniera? Po rozbitku organizacji Niemcy postanowili uderzyć tak, aby to uderzenie było widoczne i aby je wszyscy



odczuli. Sięgnęli po młodzież, nawet po tę, która była zatrudniona w warsztacie, który zdanem niemieckiego kierownika był Kriegswichtig, jednocześnie zabrał mi również do ludzi starszych. Gdy milicja żydowska spędzała na plac jednych i drugich, na ów plac w pobliżu koszar, powiedziałem do inżyniera:

— A może by tak teraz wymknąć się? Zdziwiony zapytał:

— Jakto, teraz?

— Gdybyś pomógł mógłbym się dostać do grupy młodzieży przeznaczoną na roboty do obozów w Niemczech.

— I pojechałbyś?

— A co, jak długo można tu siedzieć? Poprawiliśmy się: jak długo my możemy tu jeszcze siedzieć?

Milczał, i znów powiedziałem:

— Gdybym wiedział, że ten Szuster na mnie nie cycha, poszedłbym.

Szuster nie było. Akcję przeprowadzał Sonderbeauftragter, wysyłający ludzi na Arbeitseinsatz. Dysponował własnym sztabem urzędników, własną administracją. Inne władze nie miały z tym nic wspólnego.

Inżynier dał mi trochę bielizny, mocne buty, trochę pieniędzy i doprowadził na miejsce zbiórki. Kilkuś młodych ludzi obstawia żydowska milicja. W oddali, pod murem koszar widziałem tłum starców, kobiet i dzieci. Tamci jechali prosto do Oświęcimia.

Inżynier F. stał w pobliżu zważając, czy nie nadchodził nikt z gestapo. Pilnował właściwie mnie.

Spośród zbitego tłumy młodych ludzi począł się powoli wylinać dwuszerąg, zbliżający się do stolika, przy którym urzędowało kilku Niemców. Spisywały imiona i nazwiska, sprawdzając jednocześnie ausweisy zaopatrzone w fotografie. I nagle przerażeniem się. Szuster nie musiał szukać. Jeżeli podam imię i nazwisko, urzędnicy powiedzieli zapewne, że mają zwrócić uwagę na osobnika o takim to i takim imieniu i nazwisku, niechybnie powiadomi go o tym lub zatrzymają mnie sami. Zwróciłem się do inżyniera i zszepnąłem:

— Słuchaj, tam — wskazałem wzrokiem stolik — muszę podać imię i nazwisko. Może wiedzą o mnie a jeżeli ich wykaz trafi do Schupo lub do gestapo, Szuster odnajdzie mnie w ciągu jednego dnia w obozie, dokąd nas wyślą.

Zbladł i ciągnął mnie za sobą stanął w tyle, za tłumem.

— Błagam go — pomóż mi, pomóż, już nie mogę dłużej.

Ujrzałem twarz, której się przeląkałem: — Nie chciałeś mnie skontaktować z Wawrzyńcem, nie chciałeś, bałeś się, bałeś się mnie, za ten Ural, za tę wrogość, ale u niego był ratunek dla mnie i dla ciebie — zatonął szeroko ramieniem — dla nich wszystkich, ale tyś mi zamknął drogę, nie chciałeś...

— Cheesz się mścić?

Wpatrywał się w tłum starców i dzieci gromadzący się opodal.

— Cheesz pójść tam? — wskazał mi ludzi przeznaczonych do Oświęcimia. — Tam nie zapisują.

Wiedziałem, że tam nie zapisują. Tam było lato i mierzwa ładowana do wagonów, które szły prosto do komory gazowej.

— Namyśli się, cheesz?

Wiedział o tym również dobrze, jak ja.

— Namyśli się, pomogę ci.

Jeszcze raz spojrziałem ku stolikowi. Mio-



dział podchodziła powoli, chłopcy i dziewczęta. Okazywali swoje ausweisy, nikt nie chciał być chory ani ulomny, żaden nie chciał znaleźć się w grupie przeznaczony na śmierć.

Powiedziałem zdecydowanie:

— Pójdę tam.

Wziął mnie pod ramię, ruszyliśmy przed siebie oddalając się coraz bardziej, i wtedy jeszcze powiedziałam:

— Widzisz, chciałem inaczej a teraz pomagam ci odnaleźć łatwiejszą śmierć. Gdybyś spotkał w Oświęcimiu Wawrzyńca, powiedz mu, że byłem z wami, że z twojej winy...

Urwał. Spozstrzegł, że nie można mieć już teraz o nic obwiniać.

\*

Po powstaniu w krematorium oświęcimskim, zdaje się w sierpniu 1944 roku, przetruciono część tego komanda na obóz D.

## NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH

Henryk Mościcki, Szymon Konarski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy 1949. str. 96 i 4 ni i tabl. 1.

W roku ub., w ramach „Biblioteki Historycznej” Sp. Wyd. „Książka” ukazała się obszerna praca Witolda Łukaszczyka o Szymonie Konarskim. Obecnie Państwowy Instytut Wydawniczy, w serii „Zwoty znakomitych Polaków” wydał monografię pióra Henryka Mościckiego, również poświęconą postaci wielkiego patrioty i męczennika sprawy narodowej. Tym sposobem dwa wartościowe opracowania, wydane w odstępie kilkunastu miesięcy, spopularyzują i zbliżą do współczesności osobę jednego z najwybitniejszych działaczy epoki Wielkiej Emigracji.

Niewielka rozmiarami monografia prof. Mościckiego, mająca zalety więzi i ścisłej rzeczowości, opracowana została, jak podkreśla autor, — „na podstawie możliwie kompletnej literatury drukowanej, współczesnych publikacji emigracyjnych, pryncypów w czasopiśmie polskich i rosyjskich oraz niektórych rękopisów, przede wszystkim zaś na podstawie cennej „Historii rodu Jaxa - Konarskich, wydanej przez inż. Szymona Konarskiego”.

Słusznie i celowo uwydatnił prof. Mościcki w swej monografii związki i pokrewieństwa ideowe łączące rewolucjonistów rosyjskich z polskimi ruchami wolnościowymi oraz bezpośredni udział w tych wystąpieniach — radykalnie i demokratycznie nastawionych Rosjan. Wspomniał tu m. in. autor monografii o jednym z dowódców straży więziennej — por. Mikołaju Karawajewie, który za próbę zorganizowania ucieczki Konarskiego skazany został na śmierć. O tym epizodzie pisał później Aleksander Hercen: „Wielki Polak, Konarski, który przybył z zagranicy, by na ziemiach polsko-ruskich głosić wolność, i dał swą głowę ślepacem, oraz nieznanemu oficerowi rosyjskiemu, Karawajew, który zginął, pragnąc ocalić skazanego na śmierć Konarskiego, oto pierwotny tego sojuszu, o którym mówię” (tj. sojuszu Rosjan z Polakami).

Z działalności patriotycznej Konarskiego, z treści jego pism, odez, listów itp., wysnuł prof. Mościcki i uwydatnił jasno linie ideologiczną tego, który przez Lelewela nazywany był „chlubą Polski”, a przez Mazziniego „wzorem ofiarnego życia dla ideału”. Ideą Konarskiego było zaś nie tylko wyzwoleń polityczne, tj. państwa niepodległego Polski, lecz również walka „o nowy kształt społeczeństwa”; dlatego też Konarski „czyn powstańcy pragnął wesprzeć potęgą rewolucji społecznej” i to nie w imię abstrakcyjnych i utopijnych programów emigracji, lecz w celu należytego rozstrzygnięcia realnych, a palących kwestyj, związanych z potrzebami i dążeniami pracujących mas narodu polskiego, których trzonem był podówczas stan chłopski.

bd

### SPROSTOWANIE

W przekładzie epigramatu Puszkina „Na Aleksandra I”, zamiast błędnie wydrukowanego: „Nasz car był lichym kapitanem” ma być:

„Nasz car był dziarskim kapitanem”.

Mieczysław Jastrun

Ich blok, dziewiąty czy jedenasty, był mocno strzeżony, ale mimo to dostałem się tam któregoś dnia. Chciałem dowiedzieć się szczegółów tego powstania, ale ludzie opowiadali chaotycznie, zalecając relacje szczegółami nielotnymi: wylaniało się jakieś samochwalstwo, może i buta, ale maskowana, niesmaczna. Niektórzy pracowali tam od dwóch lat. Zapytałem ich, czy wiedzą coś o grupie złożonej z pięciu ludzi, przybyłej do Oświęcimia w marcu 1943 roku. Nie wiedzieli. Dużo takich grup przybywało, nie koleją, przeważnie samochwalcami, z różnych stron. Powiedziałem im, że w tej grupie była dziewczyna, młoda, o rudych włosach, może pamiętają, i czterech mężczyzn.

— Zydzi?

— Tak, ale był tam również Polak. Może pamiętacie, tamci nosili opaski, on nie.

— Czekaj, czekaj, coś sobie przypominam, taki jeden niski, płatus.

Wiem, że mówi o Wawrzyńcu.

— Co się z nimi stało, zagazowali ich?

Spojrzał na mnie z wyższością człowieka, dla którego nie ma nic nowego w obozie.

— Frajer, zagazowali, co ty myślisz, że dla pięciu ludzi uruchomili komorę gazową? Przecież to kosztuje kopy furysy. Przecież jednym cyklonem można udusić odrazu tysiąc ludzi. — Chępnij się nie ma! — i więcej jeszcze.

Ktoś zapytał:

— A co, pewnie mieli twoje złoto, co? Jak przyjeżdżał Polak razem z Żydami, tośmy odrazu wiedzieli, że to jakiś szmugiel albo inny handel z gettem.

Nie widziałem twarzy. Po przez izy widziałem chwiejne, ruchome paslaki, postaci bez twarzy.

— To byli komuniści.

Świadek ich śmierci powiedział:

— No to mogliś odrazu tak powiedzieć, pewnie, że ich widziałem. Zanim ich rozstrzelali, śpiewali Międzynarodówkę. Wiesz, ta ruda dziewczyna to było nieomal dziecko.

\*

Znów spoglądam na list, który mi sugeruje „napisać powieści”. Pojadę tam, pojedzie napewno. Jeżeli w tej fabryce zostało coś z życia Wawrzyńca, z jego ducha, z jego walki, to napewno warto tam pojechać, ale czy napiszę powieść, kto to wie?

KONIEC

Stanisław Wygodzki.

LECH BUDRECKI

# „Druka Ameryka” E. Caldwell

## i drogi współczesnej powieści amerykańskiej

Liczne wypowiedzi na temat Erskine Caldwell'a czy to w Polsce, czy też za granicą, w Europie czy w Ameryce, niezależnie od oceny kunsztu pisarskiego tego prozaika, uznawaly za rzadką wręcz zgodność „brutalność” i „okrucieństwo” za cechy wyróżniające autora „Drogi tytoniowej”, co pozwalało rzekomo na umiejscowienie go w grupie niektórych powieściopisarzy amerykańskich, debiutujących około lat trzydziestych. „Brutalność” i „okrucieństwo” miało ich właśnie łączyć, miało pozwolić na wymienianie jednym imieniem Johna O'Hary, Jamesa Mac Caina, Richarda Wrighta, Jamesa Farrera i wielu, wielu innych.

Zagadnienie dotyczy niewątpliwie selekcji faktów wiązanych do powieści. Przyjrzyjmy się postępowaniu bohaterów obu utworów człowieka amerykańskiego prozaika, składających się na tom „Druka Ameryka”. Ich praktyka życiowa łączy się na ogół powszechnie oburzenie, jest sprzeczna z kodeksem prawnym niemal wszystkich krajów. Rodzina Lesterów wypycha za drzwi w czasie posilku gołdną od wielu już dni babkę, by tym więcej kukurydzianego chleba przypadło na pozostałych. Szeryf wbrew swoim obowiązkom pozwala na złincowanie niewinnego Murzyna i na ukamienowanie białej dziewczyny. Farmerzy w poszukiwaniu Sonny Clerka oblewają nagą Murzynkę terpentyną.

Caldwell tłumaczy zachowanie Jeetera. Jeeter kradnie, pragnie śmierci swej matki. Nie wynika to jednak z jakichś charakterystycznych cech natury ludzkiej, czy też z wrodzonych skłonności. Jeśli śmierć matki jest dlań wydarzeniem raczej pocieszającym, to tylko dlatego, że ubył jeszcze jeden człowiek, którego trzeba było wyżyć, z którym trzeba podzielić surową rolę. A panuje przecież głód, stanowiąc, jak będziemy się mogli o tym przekonać, zjawisko powszechne wśród drobnych dzierżawców w okolicy Fuller i Augusty.

Postępowanie wszystkich ludzi, przedstawianych nam w „Drodze tytoniowej”, jest całkowicie uzależnione od warunków, w jakich pozostają. One to właśnie zmuszają Jeetera do kradzieży rzepy, do wydawania za małą dwunastoletnią córką (małżeństwo bowiem sprawzone zostało do roli kontraktu handlowego). Z kształtowania się pewnej praktyki moralnej pod naporem zewnętrznej sytuacji wyrósł cały wewnętrzny konflikt starego Jeetera. Rodzi się on bowiem z wyraźnego antagonizmu pomiędzy wyznawaną przez moralnością a tą, jaką stosuje w praktyce życiowej.

Jeeter wyznaje jakieś zasady etyki. Potępia kradzież i odczuwa z racji nagminnego jej popełniania wyrzuty sumienia. Jeeter ufa Bogu i sprawiedliwości integralnej, której wyroków pragnąłby za wszelką cenę oczekiwać. A jednak musi brać, a więc i „grzeszyć”. Inaczej bowiem umarby z głodu. Podobnie rzecz ma się i z jego stosunkiem do matki, wywołanym bezpośrednio położeniem, w którym znalazła się rodzina Lesterów, a wraz z nią szeregi rodzin z tej samej co i ona grupy społecznej.

A jeśli pójdziemy dalej, to okaże się, że przyczyny, które ustalają nowe zasady praktyki życiowej, wpływają także w sposób zasadniczy na rozluźnienie więzów krwi. Dzieci odchodzą od rodziców, tracą z nimi wszelki kontakt. Idą do fabryki. Droga prowadzi bowiem z proletariatu wiejskiego w proletariatu miejski. Wyznacza ją i Lizzie Belle, i Pearl, i Bailey... Niekiedy nie było to tylko zerwanie kontaktu, niekiedy pojawiał się zdecydowany przedział, jak się to dzieje np. w przypadku Toma. Tom stał się drobnym przedsiębiorcą. Nie łączy go teraz nic z przynależającymi głodem robotnikami rolnymi, aczkolwiek są nimi jego rodzice. Więź klasowa rozbiła bowiem do reszty związki rodzinne.

### II

Obserwacje te postarajmy się rozciągnąć także na drugie opowiadanie tomu „Druka Ameryka” pt. „Tarapaty lipcowe”. Szeryf Jeff Mc Curtain dopuszcza wbrew nakazom prawa do linczu młodego Murzyna, który w ogóle nie popełnił żadnego przestępstwa. Ba, przygląda się ukamienowaniu Kate Harlow, wyznającej farmerom, że Sonny Clerk, poszukiwany i powieszony później „czarny” wcale jej nie zgwałcił. Mc Curtain nie może reagować na te wydarzenia inaczej. Przepadły bowiem już przy następnych wyborach. Utraciłby swą posadę. Toteż pozornie tylko ma swobodną decyzję, pozornie tylko od niego zależy przyjęcie lub odrzucenie pewnej praktyki życiowej. Pozornie, gdyż przez cały czas działalność głównych postaci „Tarapatów lipcowych” uzależniona jest od sytuacji życiowej, w jakiej ta się znajduje. A sytuację tę tworzą pojęcia etyczne dzierżawców i pracowników rolnych, drobnych sklepikarzy i rzemieślników (wszyscy oni mają białą skórę), dalej akcja Jacyou Calhoun, posiadającej się prawem doktora Lynch'a dla swych rasistowskich dążeń politycznych.

Ale czy te jedynie fakty wpływają w sposób rozstrzygający na los młodziutkiego Sonny Clerka? Czy te jedynie przyczyny powodują, że Bob Watson zapowiadający, w obawie przed utratą murzynskich robotników, że będzie strzelał do białych poszukujących czarnego na jego terenie, strzela wprawdzie, ale w powietrze? Nie, obwiniony jest także ustrój Stanów Zjednoczonych, ustrój, w którym toluje się rasizm, w którym samosąd staje się czymś faktycznie dopuszczalnym, a nawet częstym.

Za akcją Narcyzy Calhoun ukrywa się przecież cień senatora Ashleya Dukesa,

zapewniającego, że jeśli uda się jej zebrać podpisy wszystkich mieszkańców Georgii mających prawa wyborcze pod petycją, która domaga się wysłania Murzynów do Afryki, to on „postąpi odpowiednio”. Amerykański ustrój gwarantuje więc szerzenie się dyskryminacji rasowych, wchodząc tym samym w poczet najpoważniejszych sprawców zbrodni popełnionej na Sonny Clerka i na Kate Harlow, sprawców działających wprawdzie anonimowo, ale w zamian za to jakże niedwuznacznie i ostro. Sprawca to zresztą (w powieści Caldwell'a) wcale nie jedyny. Śmierć Sonny Clerka i Kate Harlow zależna jest także od przekonań panujących wśród ludzi i od siły tychże przekonań. Toleruje je państwo, toieruje je struktura społeczna Ameryki, ale ich genezy Caldwell już nie wyjaśnia.

Popróćmy teraz do „Drogi tytoniowej”. Tam życie rodziny Lesterów uwarunkowane było także sytuacją ekonomiczną. „Nie moja wina — rozumie Lester — że kapitan John nagle przestał nam wydawać żywność i tyton. To jego wina Lov, przez całe życie pracowałem dla kapitana Johna. Pracowałem w polu ciężiej niż czterech Murzynów. I nagle, któregoś dnia przychodzi i mówi, że już nie będzie mógł wydawać żywności ani tytonu ze swojego składu. A potem? Wyprzedzając wszystkie swoje muły i wynosił się do Augusty. Nie mogę nic zarobić, bo nikt nie potrzebuje mojej pracy. Nikt nie potrzebuje wspaniółków do uprawiania pola. Żadnej pracy nie mogę znaleźć, żeby się do niej nająć. Nie mogę też zacząć uprawiać bawełny na własną rękę, bo przede wszystkim nie mam i nie mogę dostać muła, a potem — nikt mi nie da na kredyt nasienia bawełny ani nawozu. Nie mogę dostać tytoniu ani żywności, chyba że zawlokę ładunek drzewa do Augusty. Kapitan John powiedział wszystkim kupcom w Fuller, żeby mi nie wydawali tytoniu ani żywności na jego rachunek i nie mam pojęcia, gdzie mógłbym coś dostać. Mógłbym sam uprawiać te ziemie, gdybym znał kogoś, kto by poręczył za mnie przy kupnie nawozu, ale tego nikt dla mnie nie zrobi”.

Tyle mówi Lester. Słowa jego wskazują na specyficzny typ bezrobocia, odniesiony do pewnej epoki i kraju, odniesiony jako objaw społeczny niesłychanie trafnie. W nim to niezawodnie dostrzeżemy historię jedną z charakterystycznych cech imperializmu. A co dostrzeżę Caldwell, potwierdzając za pomocą narracji bezpośredniej znaczną część wypowiedzi swego bohatera?

„Gdy Jeeter zbytnio zadurzył się w Fuller — pisze on — kapitan John tolerował to i nie zamykał mu kredytu w sklepie. Ale szybko nastąpił koniec. Uprawianie bawełny przestarzałym systemem kapitału nie dawało zysku, toteż opuścił on swoją fermę i udał się do Augusty. Zamiast narzucić swych dzierżawców, jak stosowałyby gdzieś inne metody nowoczesnej agronomii, co zresztą uważał za zgoła niemożliwe, wolał wyjechać sprzedawczy cały żywy i martwy inwentarz. Umiejętne wykorzystanie jego gruntu, żywego inwentarza i narzędzi umożliwiłoby było Jeeterowi oraz pozostałym dzierżawcom kapitału Johna uzyskanie plonów wystarczających, aby się utrzymać i mieć jeszcze ponadto pewien zysk. Spółdzielczy system gospodarki mógłby być ocalić ich jeszcze”.

Okazuje się, że zdaniem autora odpowiedzialność za bezrobocie wśród pracowników rolnych ponoszą oni sami, a właściwie ich ciemnota. Gdyby Jeeter Lester nie był analfabeta, gdyby zdobył fachowe wykształcenie agronomiczne, uniknąłby tak tragicznej sytuacji, uniknąłby nędzy. Zaprowadziłby wraz z innymi dzierżawcami system ekonomiki spółdzielczej i wszystko byłoby w porządku. Ale dlaczego Jeeter nie umie ani czytać, ani pisać? Czy nie chciał po prostu posiadać tej umiejętności?

Tu łamią się zdolności ustalania hipotez odnośnie związków przyczynowo-skutkowych dla pisarza amerykańskich klas średnich, który zobaczył wiele z zachodzących procesów, ale siły je wywołującej nie dostrzegł.

Caldwell nie potrafi dokonać tego, na co zdobył się w szczytach zresztą wymiarach John Steinbeck pisząc „Grona gniewu”, jedno z nielicznych dzieł amerykańskich prozaików z tzw. średniego pokolenia, gdzie za przebiegającymi wydarzeniami dopatrzone się monopolizowanego kapitału. Fakty składające się na fabułę „Drogi tytoniowej” to właśnie skutki bezpośrednie i bliskie przeobrażeń społecznych, do jakich prowadził wzrastający w Stanach Zjednoczonych imperializm.

Cemu należy przypisać fakt, że w czasach nam współczesnych jako obrocy analfabety, którego tradycja tyle razy w dziejach wspierała ruchy postępowe i nowatorskie, — występują niekiedy na zachodzie reakcyjni profesorowie, biadający nad „upadkiem zachodniej kultury”? Dlaczego większość filologów klasycznych we Francji spłamiła się podczas wojny kollaracja, a próby obłudnego powoływania się na spuściznę grecko-rzymską i obrabiania jej rzekomego „odrodzenia” w ramach nowej „kultury” imperializmu, występują w pewnych kołach „humanistów” z tamtej strony Oceanu? Dlaczego tego „humanizmu” nie popierają masy ludowe, przejmujące zawsze wielkie dziedzictwo kulturalne.

tytoniowej” to właśnie skutki bezpośrednie i bliskie przeobrażeń społecznych, do jakich prowadził wzrastający w Stanach Zjednoczonych imperializm.

### III

„Droga tytoniowa” nosi znamienne datę. Ukazała się na rynku księgarskim w roku 1932, stanowiąc jedną z pierwszych powieści Erskine Caldwell'a. „Tarapaty lipcowe” pojawiły się o całe osiem lat później. Stając wobec obu tomów możemy już przedstawić kierunek, w jakim poszedł rozwój autora „Tragicznej ziemi”.

„Droga tytoniowa” była dziełem wskazującym na jakieś nieznane realne czynniki determinujące ludzkie postępowanie a wykraczające poza ciemnotę i niedouczenie, czynniki natury bądź co bądź gospodarczej. W „Tarapatach lipcowych” sprawa jest prostsza, traci wszelkie niedomówienia, zmieniając tym samym swój charakter. Zachowania ludzkie pozostają tu w niedwuznacznym związku z typem rzadów i z tym, co można by nazwać w ślad za Leonem Chwistkiem, „popularnym poglądem na świat”. Erskine Caldwell mówi tu już niedwuznacznie, że światem rządzą poglądy, a krajem ta ideologia, która jeśli nie zyskuje poparcia, to przynajmniej zasługuje na tolerancję ludzi, znajdujących się u steru władzy.

Oto mamy przed sobą i początek, i mniej więcej jakiś, użyjmy tej szumnej nazwy, „punkt kulminacyjny” pisarskich poczynania jednego z czołowych prozaików amerykańskich. Osiem lat, a jak wielki był to dystans czasu dla tych, którzy właśnie gdzieś około r. 1930 zaczęli obserwować zjawiska monopolów i trustów. Steinbeck pisał podówczas powieść o wielkim korsarzu z wysp Antylickich, żyjącym w drugiej połowie XVII w. („The Coup of Gold”) i miał wkrótce potem zostać autorem radosnych opowiadań z życia kalifornijskich robotników rolnych („Tortilla Flat”). Ale już debiutują Cantwell, Appel i Halper, a starszy od nich o dziesięć lat prawie John Dos Passos ma za sobą „Manhattan transfer” i pisze dwa pierwsze tomy słynnej trylogii „USA”, które miały okazać się jedną z najważniejszych prób wyjaśnienia tego, co w wieku XX zaczął dokonywać się na terenie Stanów Zjednoczonych. Nieomal równocześnie krytycy podchwytują jeszcze jedno, zupełnie nowe nazwisko. To James Farrell pułkuje swe pierwsze utwory.

Wszyscy ci pisarze pomimo wielkiej różnorodności zdradzają jedną podstawową tendencję. Chodził mi tu o nieustanne prezentowanie przez Caldwell'a i Steinbecka, przez Farrera i Wrighta skutków, do jakich w życiu społecznym prowadzi powstawanie i umacnianie się monopolu, narodzenie nowych trustów. Ideologowie i artyści klas średnich, a wymienionych tu prozaików, musimy traktować jako takich właśnie, ulegających wszelkiemu oddziaływaniu filozofii nieuchronnej klęski wywołanej wzmagającym się naporem wielkiej burżuazji, filozofii, której doskonałym przedstawicielem był John Steinbeck w „Myszach i ludziach”, stwierdzający, że wszystkie poczynania prowadzą nieuchronnie do katastrofy.

Lata 1934, 1935, 1936 nawet, przyniosły z sobą dzieła, które zbliżyły się do wydobycia specyfiki imperializmu, które zaczęły rejestrować konflikt ruchu robotniczego z wielkim kapitałem. Tak powstaje „An dubious battle” Steinbecka, tak napisane zostały publicystyczne wstawki do „1919” Johna Dos Passosa, niektóre powieści Halpera. Ale ten nurt przyjął się szybko jednak załamywał, zbliżał ku końcowi. Walka klas stawała się czynnikiem realnym, dalekim dla wielu pisarzy amerykańskich, nawet najradzykalniejszych. Ostatnim spójnym pogłosem były „Grona gniewu”, które ukazały się na półkach księgarskich w r. 1939.

Toteż ewolucja Caldwell'a od „Drogi tytoniowej” do „Tarapatów lipcowych” jest symptomatyczna. Przeszedł ją nie tylko autor „Tragicznej ziemi”. Przemiany te zaobserwujemy bowiem z łatwością i w dziełach twórczości Wrighta, wiodącej od „Dzieci wuja Toma” ku „Black Boy” i w zakończeniu trylogii „USA”, od którego krok dzielił tylko do „Przygód młodego człowieka”, pamfletu wymierzonego w partię komunistyczną. A w r. 1943 tenże sam pisarz, autor „Manhattan transferu”, przekreślając znaczną część swej działalności pisarskiej, ogłosił wielki reportaż „The

ground we stand on”, pochwałę stosunków panujących obecnie w Stanach Zjednoczonych. A Steinbeck, nawet Steinbeck zaczął zajmować się apoteozą marginesowych grup społecznych w miasteczkach odległych stanów, gdzie nie ma krachów gospodarczych, nie ma głodu i bezrobocia. W tym właśnie miejscu załamała się literatura zbuntowana przeciw konsekwencjom nowego stadium kapitalizmu, choć ślepa zazwyczaj na właściwe źródła wydarzeń, które potępiała. Appel, Cantwell, Halper zamikłi, inni zmienili swą pozycję, odeszli wraz ze zmieniającą się sytuacją klas średnich, tak jak odeszli budzący niezwykłe zainteresowanie swym debiutem prozaki o problematyce murzyńskiej — Ryszard Wright.

### IV

Zastanówmy się przez chwilę nad tym, kogo zniszczył wieki kryzys lat 1929—1933. Wiemy, że nie zbankrutował ani Morgan, ani Lamont, ani Mitchel, ani Whitney, ani Prester. Wręcz przeciwnie — giełdowa panika była bardzo na rękę tym wszystkim bankierom, którzy na przełomie r. 1929 i 1930 zawarli między sobą tajne porozumienie. Spadek akcji stanowiął przecież hołoso cios jedynie dla kapitału przemysłowego, dla drobnego kapitału finansowego, a przede wszystkim dla posiadaczy ziemskich. Farmerzy tracili pracę, upadali małe przedsiębiorstwa, proletariatu miejski obciążony został olbrzymimi podatkami, ale potężni speculanci z Wall-street, twórcy bankowców syndykatów przeżywali przez pewien czas przynajmniej (do r. 1932) okres niezwykłej koniunktury.

Były to lata dla dzieł walki klasowej na terenie USA niebywale ważne. Mieliśmy bowiem przed sobą wzrost i przesilenie imperializmu. Nacisk kapitału finansowego, korzystającego z krachu ekonomicznego Stanów Zjednoczonych, nacisk na klasy średnie, na słabsze grupy burżuazji nie ulegał wówczas najmniejszemu wątpliwościami.

I tu należy właśnie szukać genezy twórczości literackiej tej epoki, prozy, „okrucieństwa” i „brutalności”. Klasy średnie protestowały. I protest ten mogłobyśmy odczytać w „Myszach i ludziach”, w „Drodze tytoniowej”, w debiucie Appela, a nawet w książkach pisarza tak zaobłąkanego jak James Farrell.

Przyczyn stwierdzanego kryzysu, właściwych przyczyn, nie poznano, ale rejestrowano go za to przedstawiając sytuację farmerów, robotników rolnych, urzędników, ba, usiłowano nawet znaleźć w niej filozofię dół człowieczy tak wyraźną już w „Biednych i bogatych” Ernesta Hemingwaya.

Ale później, jak wspominałem już o tym, „kunszt pisarski” zaczął podlegać zmianom. Nadchodził Rooseveltowski New Deal, a wraz z nim załagodzenie konfliktów klasowych. Załagodzenie to wynikało nie tylko z powodu chwilowego przewyższenia podstawowych sprzeczności gospodarczych.

Zwycięstwo wkrótce okazało się tylko polowiczne, ale bądź co bądź stanowiło poważny sukces. Ograniczono kapitał przemysłowy, zalecono przedsiębiorstwom opracowanie kodeksów uczciwej konkurencji, wprawdzie największe trusty odmówiły przyjęcia takowych, ale za to w dziedzinie polityki rolnej zaczęto inwestować kapitał państwowy w postaci pożyczek w szczupłe posiadłości farmerów. To lata 1933—35.

Sprawa mimo to nie jest jeszcze jasna. Monopole znowu wzmożry się na siłach. Ustawa o uzdrowieniu przemysłu, wydana wówczas właśnie, pokryła tendencje koncentrowania do likwidacji słabej konkurencji tzw. outsiderów.

Ale dalszy przebieg New Dealu polepszał coraz wyraźniej położenie klas średnich. Wpłynęło to zdecydowanie na pisarzy reprezentujących. W „Tarapatach lipcowych” problem likwidacji linczu staje się dla Caldwell'a, już tylko zagadnieniem pokonania pewnych bezspornie rasistowskich a bardzo popularnych uprzedzeń. Saroyan występuje do gloryfikacji małych miasteczek i szczęścia, które w nich panuje („The Human Comedy”). Można by tych przykładów zacytować znacznie więcej. Linia ideologicznych przemian prozaików takich jak Steinbeck, Caldwell i Farrell jest bowiem całkowicie uzależniona od drogi, którą przebywały klasy średnie w Stanach Zjednoczonych.

Lech Budrecki

## O pojmowaniu kultury klasycznej

(Dokończenie ze str. 2)

a wśród autorów zachodnich szerzy się nastroj melancholii, wyrażającej się w rozważaniach na temat niebezpieczeństwa, grożącego tradycjom kultury starożytnej?

Wydaje się, że źródło tego zjawiska leży głębiej aniżeli można by sądzić, widząc w ahistorycznym i antyrealistycznym stosunku do antyku wyłącznie produkt szkoły kultury burżuazyjnej. Korzenie swoje ma ono również w o wiele dawniejszym sposobie pojmowania tradycji klasycznej, biorącym początek — jak wykazuje m. in. Durkheim w swojej „Historii wychowania we Francji” — z przejęcia patronatu nad kulturą starożytną, odkrytą i ukazaną w sposób postępowy i nowatorski przez szesnastowieczny humanizm — w rece reakcji jezuitckiej.

To owa jezuitcka łacina i greka dla całego zjawienia wiecnego sferprowała nasze wyobrażenia o świecie starożytnym w sposób pozbawiający je ich rzeczywistej, historycznej treści. To ona dała początek nurtowi, który ze studiów filologicznych uczynił narzędzie stanowego, a później klasowego zróżnicowania społeczeństwa, ze stosunku do kultury klasycznej stworzył punkt oparcia nie dla zrozumienia lecz dla mitologizacji rzeczywistości, tak sta-

rozżytnej, jak współczesnej. Było jej to potrzebne: w oparciu o autorytet kultury klasycznej kształtowała człowieka w duchu pokory i uległości, wiary w działanie sił nadprzyrodzonych i niewiary w rozum. Antyczne bóstwa i stare monety pozwoliły — jak się okazało — doskonale użyć się do tego celu.

Czy walka z takim właśnie pojmowaniem tradycji klasycznych, ukazującym dziś w sposób dostatecznie wyraźny swój głęboki kryzys, jest równoznaczna ze zwalczaniem tradycji kultury klasycznej w ogóle? Celem niniejszego rozważania było między innymi wykazanie, że są takie byłyby niesłuszne, a sugerowanie jego leży wyłącznie w interesie reakcyjnych ideologów, utożsamiających dziedzictwo klasyczne z takim jego pojmowaniem, jakie najbardziej dogadza wyobraźniom głąbię klasy burżuazyjnej. Oczywiście, wypełnienie nową, w duchu materializmu historycznego i dialektycznego pojętą treścią postępowego, racjonalistycznego nurtu tradycji klasycznej — stanowi niewątpliwie jedno z pilniejszych zadań, jakie leży przed pokoleniem kształtującym oblicze przyszłego socjalistycznego humanizmu.

Ryszard Matuszewski



## Goethe — grafoman

Co to jest poezja? zapytywałem nieraz ja, Kandyd, ale nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, zdawałoby się, rozsądnie postawione. Co to jest poezja? pytam czytając różne utwory w dziennikach i czasopismach, utwory, które same nie wiedzą czy mówią wierszem, czy prozą — jak nie wiedział mój znajomy, poczciwy pan Jourdain. Zgębniony lekturą większości wierszy, ukazujących się w czasopiśmie, zaśladłem do czytania klasyków. Czytałem wszystko, co mi wpadło w ręce. Od Słowackiego po Staffa. Podleszyłem się trochę. Bardzo nie lubię czytać poetów w latach ich jubileuszowych, ale tak się jakoś złożyło w tym roku, że wszyscy poeci, zmarli i żywi, obchodzą swoje jubileusze. Obok przyjaciela mojego, poety Jana Balansiewicza, który święci pięćdziesiątą swą amorficzną twórczość, obchodzą również jubileusz stary poeta, minister wernarski Wolfgang Goethe, z którego wierszy śmieję się mój przyjaciel, poeta Jan Balansiewicz, mówiąc, że to grafoman. A wiersz Kandydziej, jak mnie nazywają? — powiedział Balansiewicz, patrząc na mnie trzymającym wzrokiem. — Nazywają mnie „polskim Rimbaudem”.

Pokiwalem głową i poszedłem do mojego poważnego i rozsądnego rówieśnika i przyjaciela literata, który wiele wie i rozumie, nie chce jednak wypowiadać się publicznie z obawy przed narażeniem się komuś. Owo poważny i ostry przyjaciel powiedział do mnie, ścisząc głos: Obniżenie się tak zwanego poetów drokowanych ostatnimi czasy utworów poetyckich jest faktem, którego nie ma powodu przemilczeć. Przeciwnie, należy uderzyć w dzwon ostrzegawczy. Nie chodzi tu bynajmniej o taką czy inną technikę. Chodzi o to, że pojawiające się coraz obficie wiersze, niezależnie od ich tematu, nie mają w ogóle żadnej techniki. Rozluźnienie dyscyplin poetyckich doprowadziło w rezultacie do dzieł, które nie są ani wierszem, ani prozą, ani nawet notatką dziennikarską.

Niektórzy poeci zdają się nie rozumieć, że wiersz wolny ma również swoje trudne dyscypliny, inni produkują pocztówki, w błogim złudzeniu, że to poezja. U jednych i drugich: u rozchełstańców i kalfografów obserwuję niezwykle leniwość formy i myśli.

Niejedną taką niedowarzoną twórczość poetycką znajduje miejsce w pismach, nawet literackich.

W związku z Rokiem Goethego pojawiły się w wielu pismach przekłady z tego poety. Przekłady te ukazują w pełni upadek sztuki poetyckiej w Polsce. Przekład wymaga techniki, zrozumienia odrębności stylu tłumaczonego poety, wymaga kultury literackiej. Tłumaczenie wierszy Goethego wymaga wielkiej kultury i wielkiej techniki. Przedwojenny przekład „Fausta” Zegadłowicza miał poważne błędy, ale przytaczane dzisiaj cytaty z tego ułomnego tłumaczenia brzmią jak arcywiersze ze złota przy nowych przekładach niektórych utworów wielkiego poety niemieckiego. Oto na przykład — fragment przekładu słynnej ballady „Der Fischer”, pióra ob. Sitka:

Wzbranej wody słycał szum,  
na brzegu rybak siadł,  
zarzucił wędkę w głębi nurtu  
i śledząc pławik zbladł.  
A gdy tak siadł, wzrok w wodę star,  
czymś się sina toń,  
a ze wzburzonej piany fal  
zwraca się dziewczę doń.

Śpiewała mu, mówiła mu:  
„Dziewczę dzieci me  
wabisz podstępem w górę tu,  
by śmierć im straszny nieść?  
Ach, gdybyś znał, jak rybakom tam  
błogo na samym dnie,  
zstąpiłbyś na dół chętnie sam,  
tam pędzić życie twe.”

Mówiła doń, śpiewała doń  
nieszczęście było tuż:  
pół wciągnął go, pół sam wpadł w toń,  
nie ma rybaka już.

I to ma być popularyzacja wielkiej poezji w piśmie literackim o wielkim nakładzie?! — krzyknąłem. — Czyżby Goethe był grafomanem? Przyjaciel mój zaśpiewał dyskantem:

Mówiła doń, śpiewała doń,  
Nieszczęście było tuż...

Po czym poważniejąc nagle rzekł z nasclkiem: Rzeczywiście nieszczęście jest tuż — w braku rozsądnej oceny nadsyłanych do pism utworów wierszowych, w zupełnym pomieszanu i zamęczeniu kryterium. Bo oto w tym samym piśmie umieszczono cudowny przekład Mickiewicza: „Znasz-li ten kraj” i piękne tłumaczenie sonetu „Natura i sztuka” pióra Leopolda Staffa:

Daremnie nęci skończoność najczystsza  
Ducha, którego wędziła nie wiodą.

Skupić si musi, kto pragnie wielkości,  
W ograniczeniu dopiero znać mistrza,  
I tylko prawo darzy nas swobodą.

Tak, Kandydziej, drogi mój przyjacielu,  
tylko prawo darzy nas swobodą...

Kandyd

\* Erskine Caldwell „Druka Ameryka”, „Droga tytoniowa”, „Tarapaty lipcowe”, Czytelnik, 1949, str. 336.

## Z Konkursu Chopinowskiego

Rysunki Heleny Cygańskiej-Walickiej



Lew Oboria (ZSRR)



Paweł Sieriebriakow (ZSRR)



STANISŁAW BRUCZ



Blas G. Linda (Meksyk)



Dimitri Nexoff (Bułgaria)



Zbigniew Drzewiecki (Polska)



Bolesław Woytowicz (Polska)

### Dziwy planu Marshalla

Tyle pisano o planie Marshalla, że trudno powiedzieć na ten temat coś nowego. A jednak rewelacyjne są wywody czasopisma „The Tribune”, które przeanalizowało cyfry oficjalnego sprawozdania planu za ostatnie miesiące zeszłego roku. W tym okresie brytyjski koncern naftowy „Anglo-American Oil Company” uzyskał zezwolenie od rządu angielskiego na zakup w ra-



mach planu Marshalla produktów naftowych za sumę siedmiu milionów dolarów. Naftę zakupiono w firmach „Esso-Export Corporation” i „Standard Oil Corporation” w Nowym Jorku. Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że zarówno brytyjski nabywca jak i amerykańskie firmy, które sprzedały naftę, należą w stu procentach do największego trustu naftowego świata „Standard Oil Company of New Jersey”. Krótko mówiąc, Standard Oil sprzedał w ramach planu Marshalla naftę... Standard Oil. Nabywca i sprzedawca w jednej osobie zarobili na tej transakcji ogromne kwoty. Za wszystko zapłacił amerykański podatnik. Ale to jeszcze nie koniec.

Wspomniana „Esso-Export Corporation” (należąca, jak powiedziano do Standard Oil) sprzedała (również w ramach planu Marshalla) za cztery miliony dolarów naftę francuskiemu koncernowi „Standard Francaise des Petroles”, który należy w 83,63% do Standard Oil. Zarazem inny koncern francuski, „Les Raffineries de la Vacuum Oil”, otrzymał zezwolenie na zakup naftę za sumę 2,5 miliona dolarów od amerykańskiej firmy „Socony Vacuum Oil Company”. I w tym wypadku oba kon-

cerny, kupujący i sprzedający, są własnością... Standard Oil, za którą kryje się Rockefeller. Jak wynika ze sprawozdania „Tribune” w ciągu dwu miesięcy Rockefeller sprzedał sam sobie ogromne ilości naftę za kilkadziesiąt milionów dolarów. A ile w ciągu roku? Dlaczego więc plan Marshalla, a nie plan Rockefellera? I co to ma wspólnego z „pomocą” Europie? st

### Zmęczeni Labourzyści

Amerykański komentator polityczny Stewart Alsop opublikował w „New York Herald Tribune” artykuł, który jest znameniem przyczynkiem do nastrojów panujących w szeregach angielskiej Partii Pracy.

„Jest bardzo możliwe — pisze Alsop — że w ciągu najbliższych 12 — 18 miesięcy nastąpi załamanie się Anglii jako wielkiego mocarstwa. Anglicy oczekują tej groźnej burzy z melancholijnym znużeniem, a po drugiej stronie oceanu Amerykanie dążą do tego ze złośliwym uporem. O ludziach rządzących Anglią można przede wszystkim powiedzieć, że są niewymownie znużeni. Sir Stafford Cripps odwiedził ostatnio szwajcarskie



sanatorium. Ernest Bevin musiał udać się do południowej Francji, aby tam odpocząć. Herbert Morrison od dawna źle się czuje. Premier Clement Attlee, na którym spoczywa cały ciężar, jest bliski wyczerpania. Na twarzach pomniejszych urzędników rządowych, którzy usiłują borykać się z angielskim kryzysem, widać szare zmęczenie.”

Angielscy „socjaliści” są więc zmęczeni. Wierzymy. Występowanie się monopolistom, którzy wiecznie grymaszą, i wycieranie przedpokojów kapitalistów jest bądź co bądź męczące. rk

### Doniosłe wynurzenia Trumana

„Niekiedy ludzie są przeświadczeni, że byłoby dla mojego kraju pożyteczniej, jeślibym uratował swoje pierwotne zamiary i został zawodowym muzykiem”. Te słowa wypowiedział prezydent Truman w Fl-



adelfii na bankiecie amerykańskich weteranów wojennych. Nie wiadomo nam, czy Truman wyrecytował pod wpływem melodii orkiestry wojskowej Związku Weteranów, czy też urzeczony dźwiękami „Yankee-doodle”, rozlegającym się raz po raz na rzece w pobliżu komendantów, skupionych w tak zwanym „Legionie Amerykańskim”. A „Legion” ten nie jest zwykłym związkiem komendantów, lecz organizacją, która pielęgnuje pieczołowicie ducha dwu wojen światowych i wzmacnia swoją krzepę wojenną przy każdej okazji, jak na przykład ostatnio w czasie koncertu Paul Robesona w miasteczku Peekskill pod Nowym Jorkiem. Pokazali wtedy legionści, co potrafili, bijąc bezbronnym Murzynów, kobiety i dzieci. No, ale to był czarny śpiewak. Coś innego biały muzyk, tego weterani słuchaliby chętnie. Trudno nam w tej chwili ocenić korzyści, jakie odnosiłaby muzyka na wypadek przeniesienia się prezydenta Trumana z Białego Domu na estradę. Sprawa pokoju zyskałaby na tym wiele. cm

### Wolność prasy... faszystowskiej

Zgodnie z zarządzeniem wojskowych władz okupacyjnych przestaje w strefie amerykańskiej w Niemczech obowiązywać prawo o licencjonowaniu prasy. Z jasnej amerykańskiej zapanuje w Niemczech zachodnich „wolność” prasy. Praktycznie oznacza to oddanie monopolu prasowego w ręce byłych hitlerowców, którzy są właścicielami największych drukarni i zakładów wydawniczych. Na ogół ukaza się w samej Bawarii 80 nowych gazet i czasopism, wydawanych przez nazistów. Prym będzie dźwierzysł osławiony Max Wilmy, były wydawca pogromowego „Stürmra”, właściciel najlepiej urządzonej zakładów drukarskich w Niemczech. Dotychczas wychodziło w strefie amerykańskiej 27 licencjonowanych gazet, ale i drukarnie należały całkowicie do hitlerowców. Tak więc pod oficjalnym protektorem Amerykanów następuje renesans prasy faszystowskiej, której głównym celem będzie walka z Związkiem Radzieckim, demokracją, komunistami, Żydami „und anderen minderwertigen Rassen” — jak pisze pewien bawarski szmatławiec. Jak z tego widać, Amerykanie świadomie,



jawnie i celowo spychają naród niemiecki z powrotem w bagno hitleryzmu. Ta zbrodnica polityka spotkała się w ciałach Niemców z burzeniem sfer demokratycznych we wszystkich strefach okupacyjnych. „Stürmer” redivivus po czterech latach okupacji — oto rezultat przestępnej taktyki „wychowawczej”. Decyzja władz amerykańskich zbiega się za uroczystościami ku czci wielkiego humanisty Goethego, o którym „Völkischer Beobachter” pisał w roku 1934: „Goethe, Heine und andere Juden”. Wszystko się zgadza. rk

### Generalskie premie

Najwyższym odznaczeniem w Ameryce jest pieniądz. Nawet wojskowych dekoruje się raczej jakąś tustą i intratną posadą, aniżeli kawałkiem blaszki, zwanym popularnie w Europie orderem. Proszę wziąć do ręki czasopismo „Army and Navy Journal” i przejrzeć spis wyróżnionych wyższych oficerów amerykańskich: Niejaki generał Groves został mianowany wiceprezydentem firmy Remington, największej fabryki karabinów i granatów w Stanach Zjednoczo-



nych; generał Somerwell został udekorowany prezydenturą przedsiębiorstwa należącego do domu Bankowego Mellona, który kontroluje produkcję miedzi w USA; Konradmiral Halloran zbiera owoce swojej sławy wojennej również w firmie Mellona, a generał Doolittle wspomina o swoich bohaterskich czynach w gabinecie wiceprezydenta Shell Union Comp. Lista „Army and Navy Journal” jest obszerna, zawiera wiele nazwisk i świadczy o trwałej wdzięczności amerykańskich kapitalistów, którzy potrafili wynagradzać przyjęcie ofert na dostawę broni. pd.

### KSIĄŻKI NADEŚLANE

Janusz Rychlewski — Człowiek z Gutperki, wydawca Gebethner i Wolff, Warszawa, Targowa 48, Nr. 9/40 — R. 1949, str. 290.  
Kariol Bunsch — Miecz i Pastorał, powieść z czasów Bolesława Śmiałego, wydawca Gebethner i Wolff, Warszawa, Targowa 48, Nr. 12/49 — R. 1949, str. 455.  
Langston Hughes — Wielkie morze, Autobiografia, Spółdzielnia Wydawnicza - Oświatowa „Czytelnik”, rok 1949, str. 282.  
Anna Seghers — Umarli pozostają młodzi, „Czytelnik”, MCMXLIX, str. 538.  
Howard Fast — Bitwa pod Valley Forge (Początek z wolności), MCMXLIX, „Czytelnik”, str. 294.  
Jarosław Iwaszkiewicz — Lato w Nohant — Komedia w 3 aktach, Spółdzielnia Wydawnicza-Oświatowa „Czytelnik”, 1949 r., str. 88.  
Bohdan Czesko — Początek Edukacji, opowiadania — Spółdzielnia Wydawnicza-Oświatowa „Czytelnik”, r. 1949, str. 124.  
Iwan Turgieniew — Opowiadania. — Przekłady z literatury obcych „Czytelnik” — Biblioteczka Młodego Czytelnika, r. 1949, str. 111.  
— Żywot chłopca polskiego na początku XIX stulecia — wstępem poprzedził Marcell Handelman — Wydawnictwo Ludowe, Warszawa 1949 r., str. 163.

### TREŚĆ NUMERU 39

Zbigniew Mitzner — Międzynarodowy Dzień Pokoju; Tadeusz Różewicz — Odpowiedź; Skąd smutek; Mieczysław Winiarczyk — Między Paryżem a Zatoką Gwinejską; Antonina Obrębska-Jabłońska — Sprawa języka „Chłopów” Reymonta; Janina Kulczycka-Saloni — Turgeniew po polsku; Z peozji Chin Ludowych; Ai Czin — Ranek oczyma się; Lu Li — Gdy otworzyłem oczy; Le Sage — Na arcybiskupim dworze; Stanisław Wygodzki — Czy napiszę powieść; Kandyd — W dniu święta pokoju; Henryk Vogler — U młodych poetów; Aleksander Litwin — Historiozofia Pawła Jasienicy; Przegląd prasy; Włodzimierz Martin — O Chinach wczorajszych; Korespondencja; Noty;

## „Maria Stuart” w Państwowym Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi

Teatr Łódzki wkracza w nowy okres swoich dziejów. Minione pięćdziesiąt lat, cokolwiek można by powiedzieć o jego wzniołości i upadkach, było burzliwe i świetne. Teatr Wojska Polskiego, wyrosły z teatru Pierwszej Armii i osiadły w Łodzi nazajutrz po wyzwoleniu miasta, tutaj właśnie, pod kierownictwem Krasnowieckiego i później Schillera, wysunął się na czoło teatralnej Polski; widzieliśmy na jego scenie parę przedstawień wspaniałych pod względem inscenizacyjnym i ważkich pod względem ideologicznym; przesunęli się tu przed nami najlepsi reżyserowie polscy, najlepsi aktorzy, najlepsi scenografowie; przez widownię jego przewinęły się łódzkie masy robotnicze, których wymagania, po tej pięćdziesięciu zaprawie, są na pewno wyższe, aniżeli przed wojną wymagania „elitarnego” widowni mieszczańskiej. Tak więc, Iwo Galla, nowy kierownik tej placówki, przemianowanej na Państwowy Teatr im. Stefana Jaracza, staje wobec nie byle jakiej tradycji, którą trzeba będzie podjąć, i wobec chlubnego dziedzictwa, któremu trzeba będzie sprostać. Chcemy wierzyć, że zarówno dyrektor, jak i jego zespół przywieziony z Wybrzeża, znajdują się na wysokości zadania.

Z Wybrzeża również przybywa do nas „Maria Stuart”, która otwiera sezon — poprzedzona sławą pięknego widowiska. Dla łodzian jest to jednak premiera, co więcej — pierwsze spotkanie z nowym teatrem, pierwszy kontakt, od którego pono zależy dalszy rozwój stosunków wzajemnych. Powiedzmy od razu: dobrze usposobiona do teatru Galla już choćby wybór sztuki, jednego z najtrudniejszych i najtrudniejszych dramatów Słowackiego. To „drama historyczne” jest tym bardziej trudne, że na pozór wyrwane z historycznego kontekstu, unieszczone w abstrakcyjnej atmosferze moralnego konfliktu, który mimo to szkockiego dworu i renesansowych strojów zdaje się rozgrywać gdzieś poza czy ponad czasem. Nie ma bowiem w tej sztuce, poza przelotną aluzją w pierwszej scenie pierwszego aktu, ani słowa o tym co wstrząsało tamtą epoką: o walce, jaką „papistka” Maria Stuart musiała toczyć z Reformacją i powstaniem Murray’a, o podstępnej wojnie z królową angielską Elżbietą, o właściwych przyczynach insurrekcji ludu szkockiego po zabójstwie Henryka Darnleja. Idąc śladem Calderona i Racine’a ukazuje nam Słowacki w postaci Marii Stuart tragedię rozdarcia między obowiązkiem i namilnością: obowiązek królowej i namilność kobiety. Racja stanu nakazuje królowej strzec czci małżeńskiej i prawa dynastycznego, to znaczy — szanować Henryka Darnleja i jako męża i jako króla; — równocześnie pasja kobiety kochającej pcha ją w objęcia Botwela. A zatem — konflikt klasyczny, zawieszony w bezdziejowej próżni wysublimowanych „wiecznych namilności”, takich jak honor, władza, miłość.

Jednakże, jeśli przyjrzymy się z bliska „Marii Stuart”, stwierdzimy, że Słowacki nie bez słuszności nazwał swój dramat historycznym. W ujęciu bowiem autora „Baldadyny” konflikt moralny otrzymuje zabarwienie romantyczne i szekspirowskie: wyradza się w bunt mocnej indywidualności przeciw koniecznościom społecznym i ustrojowym. Tak więc, w obrębie samej funkcji królewskiej, Maria Stuart nurtowana wolą

samowładztwa, powstaje przeciw Marii Stuart reprezentującej rację państwową-publiczną. Zawiązkim dramatu jest akt samowoli: królowa chce rozkazywać i dekretować wyłącznie we własnym imieniu, bez współdziałania króla-mąża. Coraz to słyszemy z jej ust: „Jestem królową!” — samozapewnienie, które ma ją utwierdzić w poczuciu wolności władzy i tym samym usprawiedliwić jej błędzenia kobiety. Rozumie to Botwel, który chce skłonić ją do czynów występnych odwołuje się do jej autokratycznej ambicji przypomniением: „Jesteś królową!” Myśląc o swej miłości do Botwela Maria Stuart powiada: „Któż ma prawo mnie sądzić, Ja osądzę siebie; ludzie są u stóp moich — nade mną Bóg w niebie!” W pewnej chwili, aby odzyskać

przytem znamienna: dramat Marii Stuart przejmują nas zgroza, ale nigdy oburzeniem. Dla kobiety bowiem w ustroju feudalnym zdrada małżeńska, jak powiada Engels, była jedynie środkiem samoobrony i najzupełniej odpowiadała sytuacji, jaką wyznaczyła jej w małżeństwie. Historyczność sztuki Słowackiego ma podwójne oblicze: jest to nie tylko osobisty dramat królowej szkockiej i opowieść o jej zdradzie małżeńskiej, ale coś więcej: tragedia jednostki w ustroju klasowym. Tragedia, której zakończenie jest zgodne z prawem rozwoju historycznego. W ostatniej scenie Botwel słyszy „straszne okrzyki ludu, w tę noc zbrodni ciemnej”. Na pytanie Marii: „Cóż w tych okrzykach słyszysz? Co słyszysz?” — odpowiada: „Przekleństwa!”



„Maria Stuart” w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi. Na scenie: H. Pacięka, K. Królikiewicz, J. Cwikliński, W. Fabisiak.

swobodę królewską, Maria zrzuca z głowy koronę jako symbol ucisku społecznego. To rozdwojenie osobowości idzie tak daleko, że w akcie piątym, w wielkiej scenie rozterki, Maria Stuart, wpatrzona w obłąkającą wizję, wykrzykuje: „Na moim tronie obca zasiada kobieta... Obca kobieta — to znaczy Maria Stuart sprawująca władzę w imię etyki społeczno-państwowej.”

Otóż konflikt między mocną jednostką a systematyką nakazów społecznych jest konfliktem historycznie uwarunkowanym, typowym dla wewnętrznie skłóconych ustrojów klasowych, czy to będzie ustrój feudalny, czy też ustrój kapitalistyczny. Zatarł tragicznie, kończąc się nieuchronnym pogrzebem jednostki i rodzący zło, które z kolei rodzi nowe zło. Wielkość sztuki Słowackiego polega na tym, że z nieodpartą plastyką ukazuje nam determinizm zła, wypływający z konfliktu: jednostka-społeczeństwo i spletrzający na scenie trupy Rizzia, Nicka, pafia i Darnleja. Rzecz

W ujęciu Iwo Galla Maria Stuart nie przychodzi na scenę z gotowym konfliktem wewnętrznym. Po podniesieniu kurtyny ukazuje nam się kobieta pełna radości życia, wrażliwa na zaloty męskie, skłonna do kokieterii. Jej dramat rodzi się w naszych oczach z wydarzeń zewnętrznych, z warunków obiektywnych. Koncepcja słuszna, która wymagała tego, aby widowisko oprzeć na żywej akcji, na dynamicznej gestyce i naturalnym toku dialogowym. Dlatego też Galla przesunął akcent z momentu wizji poetyckiej na moment akcji dramatycznej i dlatego ograniczył się do najprostszej oprawy dekoracyjnej, w której lekkie, białe ostrołuki i witraże na tle czarnych kotar określają charakter miejsca i czasu.

Jeśli chodzi o wykonanie aktorskie, to młoda drużyna Galla zdradza ogrom entuzjazmu i dobrych chęci. Niech to nam na razie wystarczy jako rękojmia przyszłego rozwoju talentów, w które niewątpliwie obfituje zespół teatru im. Stefana Jaracza.